



342792

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

ZŁOTE RUNO

DRAMAT

884-2-84

WYDANIE DRUGIE



507581



DEO IGNOTO

OSOBY:

GUSTAW REMBOWSKI, dyrektor zakładu leczniczego.

IRENA, jego żona.

RUSZCZYC.

ŁĄCKI, lekarz zakładowy.

ZYGMUNT PRZESŁAWSKI, literat, daleki kuzyn pani
Rembowskiej.

NIEZNAJOMY.

LOKAJ.

Rzecz dzieje się w sanatorium leczniczem wielkiego
miejsca kąpielowego.

Cały dramat rozgrywa się w trzech dniach.

Rzecz współczesna.

OGŁOSZENIE

GUSTAW KEMOWSKI, dyrektor zakładu leczniczego,

ul. Słowackiego 100,

Warszawa.

Wszystkie szczegóły w

brokurze PIEREŁAWKI, ul. Długa 100, w Warszawie.

Województwo

Warszawskie

1904.

Wszystkie szczegóły w brokurze PIEREŁAWKI, ul. Długa 100, w Warszawie.

Województwo

Warszawskie

1904.



AKT PIERWSZY RUSZCZYC. I zdała ci się cała

Pokój jadalny. Stół zastawiony do śniadania. Umeblowanie wytworne.

ta podróż na co? Dużo skorzystałeś?

SCENA PIERWSZA.

REMBOWSKI, ŁĄCKI i RUSZCZYC, *piją kawę i palą papierosy.*

REMBOWSKI. Bardzo mało. U nas panuje jeszcze ten głupi przesąd, że za granicą wszystko lepsze. Śmieszne. Ich zakłady wcale nie lepiej urządzone od naszych. To tylko zyskałem, że już teraz śmielej i pewniej zakład popro-

wadzę..... Porobię tylko pewne ulepszenia.....

RUSZCZYC. Dużo na to potrzebujesz?

REMBOWSKI. Tak około dziesięciu tysięcy. — *(Do Łąckiego)*. Podobno tyfus się wzmagają. Ile kolega miał dotychczas wypadków?

ŁĄCKI. Piętnaście.

REMBOWSKI. A z tych śmiertelnych?

ŁĄCKI. Trzy.

REMBOWSKI *(do Ruszczyca)*. Otóż właśnie w oddziale chorób infekcyjnych zaprowadzę znaczne ulepszenia — to trzeba Niemcom przyznać, że właśnie w tym kie-

runku porobili zadziwiające postępy. (*Do Łąckiego*).

A zresztą jaki obecny stan szpitala?

ŁĄCKI. Niegorszy. Daleko lepszy, aniżeli w zeszłym roku. Zresztą przedstawię panu dokładny stan dziś w ordynacyjnych godzinach.

REMBOWSKI. Żona pańska wróciła?

ŁĄCKI. Tak, wróciła.

REMBOWSKI. U rodziców przebywała?

ŁĄCKI. Tak.

REMBOWSKI. I szczęśliwie powiła?

ŁĄCKI. A dosyć.

REMBOWSKI. Syn, czy córka?

ŁĄCKI. Syn.

REMBOWSKI. Winszuję.

ŁĄCKI. Niema czego, kochany panie, niema czego — he, he! — to nie zawsze szczęście. Zwłaszcza... (*urywa niespokojnie; patrzy bystro na Rembowskię*).

RUSZCZYC. Cóż pan tak marnie wygląda? Nie zdrów pan?

ŁĄCKI. O, owszem — pracowałem tylko dużo. Zastępstwo nie zawsze miłe — no, tak.... czasami bardzo miłe, ale następstwa przykre — he, he — zwłaszcza dla poszkodowanej strony....

REMBOWSKI. Cóż się pan tak niejasno wyraża?

ŁĄCKI. Nie można inaczej, póki się niema pewności.

No, ale teraz pójdę do szpitalu. Pan przyjdzie niezadługo?

REMBOWSKI. Jak tylko żona zje śniadanie. Ale może pan chory? Wcałe niedobrze pan wygląda.

ŁĄCKI. Nie, nic... nic... miałem dużo kłopotu... dużo trosk....

REMBOWSKI. A jak się ma żona pańska?

ŁĄCKI. Dobrze, dobrze... dobrze... nerwowa... taki lekki odcień hysterii — pan wie — skutek przykrych przejść — ale do widzenia.... *(wstaje)*.

RUSZCZYC *(który zdawał się nie zważać na całą rozmowę)*. Więc jakże, panie Łącki, podejmie się pan objąć nadzór nad oddziałem gruźlicy? Gustaw niema ochoty, a pan podobno robił specjalne studia....

ŁĄCKI. Jeszcze się namyślę — tak już jestem przeciążony pracą... Przytem praktyka prywatna.

RUSZCZYC. Namyśl się pan, urzędzę panu taki oddział, jakiego Koch niema w Berlinie.

ŁĄCKI. Namyślę się — a muszę teraz niestety dużo myśleć.... Do widzenia....

Wychodzi.

SCENA DRUGA.

RUSZCZYC *(zamyślony)*. Tak, mój

REMBOWSKI i RUSZCZYC. drogi, ten szpital to moja duma, to moja kochanka, cały cel mojego życia.... A może chy-

biony cel? Poczóż właściwie podtrzymywać to nędzne

życie tych biedaków. Lepiejby w ciężkich wypadkach wyprawić ich na drugi świat. Co, Gustaw? Wstrzyknałbyś w ostatniem stadyum gruźlicy takiemu biedakowi wystarczającą porcję morfiny?

REMBOWSKI. Nie.

RUSZCZYC. Czemu nie? Przecież to nieuleczalne, pocóż ma się męczyć?

REMBOWSKI. Widzisz, my lekarze mamy silne poczucie etyki.

RUSZCZYC. Tak? Podtrzymywać męczarnie?

REMBOWSKI. Nie to. Ale nigdy się niema pewności, czy choroba nieuleczalna.

RUSZCZYC. A w wypadkach raka?

REMBOWSKI. Też nie.

RUSZCZYC. Czemu?

REMBOWSKI. Sumienie.

RUSZCZYC. Hm, hm.... Słuchaj Gustaw, a gdyby ktoś się tak, wiesz, zamęczał wskutek moralnych cierpień?

REMBOWSKI. Może.

RUSZCZYC. A gdybyś ty był przyczyną tych cierpień?

REMBOWSKI. Co?

RUSZCZYC. A gdybyś ty człowiekowi życie złamał? Zrobił coś takiego — hm... irréparable....

REMBOWSKI. Sambym sobie życie odebrał.

RUSZCZYC. A jednakowoż tego nie zrobiłeś.

Rembowski patrzy zdziwiony i przerażony na Ruszczyca.

REMBOWSKI. Co? Co?

RUSZCZYC. Ha, nic!

Pauza.

RUSZCZYC (*po chwili*). Strasznie skrzywdziłeś Łąckiego.

REMBOWSKI (*smutny*). Nie masz wyobrażenia, jak ciężko za to odpokutowałem. Tak, to grzech śmiertelny...

RUSZCZYC. Bylebyś to tylko ukryć zdołał. Prawda w takim wypadku zabójcza. Ale strasznie żyją ze sobą. Męczą się. Ona ma dzikie błyski w oczach. Jeżeli zdradzi się mężowi, jeżeli nie będzie mogła żyć w tem kłamstwie? Jeżeli się Łącki dowie?

REMBOWSKI. To zrobię to.

RUSZCZYC. Co?

REMBOWSKI. Odbiorę sobie życie.

RUSZCZYC. A żona twoja?

REMBOWSKI. Trudno.

Pauza.

RUSZCZYC. Czy znasz swoją żonę?

REMBOWSKI. Mało.

RUSZCZYC. Taka jakaś dziwna.

REMBOWSKI. Tak, zdenerwowana. Trzeba pomyśleć o wyjeździe — chcę ją na lato wysłać w góry...

Pauza.

RUSZCZYC. Nad czem tak myślisz?

REMBOWSKI. Nie powinienem był się żenić.

RUSZCZYC. Czemu?

REMBOWSKI. Nie robi się tego. To było strasznie brutalne po wszystkim, co zaszło pomiędzy mną a Łącką. Ale takich rzeczy się nie przewiduje. Och ta męka, męka... A teraz, kiedy znowu powróciła... nasze sumienie za delikatne, by żyć w tem kłamstwie... przysięgam — no! (*macha ręką, po chwili*). Wiesz, ja Łąckiemu w oczy spojrzeć nie mogę. Ma w nich coś, co mi trzepocące skrzydła skrwawionego ptaka przypomina. Ustawicznie go się dopytuję, co słyhać? jak z jego zdrowiem? a żona jak się ma? Mam wrażenie, że jestem człowiekiem, który popełnił zbrodnię, a teraz żyje w ustawicznym lęku, że się zbrodnia lada chwilę wykryje. Wiesz, w nocy się zrywam. Śnię, że on klęczy na mej piersi i dusi mnie — nie! nie dusi, tylko patrzy, wwierca się we mnie oczyma, takimi smutnymi oczami, że krew mi w żyłach stygnie. Gdyby był wściekły, gdyby strzelał do mnie, znieważał mnie — głupstwo! Ale te straszne smutne oczy, to krwawe pytanie: »Czemuś mi to zrobił?«

RUSZCZYC. I czemu to zrobiłeś?

REMBOWSKI. Obłąd! Nie wiem, co się stało. jak się stało. Miałem jakąś obłądną potęgę w sobie, rwałem, wlokłem ją za sobą w przepaść. Opierała się, ale byłem tak silny. Chwilami miałem wrażenia, że ją za włosy wlokę, szarpie, — przemocą ciągnę w piekło...

RUSZCZYC. Mam dla niej głęboki szacunek.

REMBOWSKI. Dla kogo?

RUSZCZYC. Dla Łąckiej. Że to wszystko zniosła! —
a to dziecko, które teraz porodziła — to twoje?

REMBOWSKI (*milczy*).

RUSZCZYC. I wiedziałeś o tem, żeniąc się?

REMBOWSKI. Nie! Byłem szczery. Jak się w Irenie za-
kochałem, powiedziałem Łąckiej wszystko otwarcie.
Nigdy jej nie okłamywałem.

RUSZCZYC. A ona?

REMBOWSKI. Nic. Padła bez życia. Docuciłem ją.
Wstała zimna — trup! I nic nie mówiła. Potem po-
dała mi rękę i powiedziała: Niech ona ci da szczęście,
którego ja ci dać nie mogłam.

Milczenie.

RUSZCZYC. Dziwne, że takie stosunki tak strasznie się
mszczą... Chcecie zniszczyć moralność, tak zwaną mo-
ralność — pytacie się, co jest dobro, a co zło, a za-
pominacie, że istnieje jakaś dziwna, tajemnicza, we-
wnętrzna moralność w każdym czynie. To, co złe,
zawsze się mści, bez względu na wszystkie rozumo-
wania... Słuchaj, lękam się o ciebie, ale pamiętaj!
mam ciebie jednego, kocham cię, bardzo cię kocham...
Ojca twego kochałem, ach, jak go kochałem!...
(*urywa nagle, bardzo niespokojny*).

REMBOWSKI. Czemuż mnie nie ostrzegłeś? Przecież
widziałeś wszystko, co się dzieje.

RUSZCZYC (*łękliwie*). Nie, nie, moje dziecko. Nie mogłem, — widziałem wszystko, bolałem tak, że jednej chwili nie miałem spokojnej, ale przeznaczeniu nie można przeszkadzać. (*Tajemniczo*). Nie można, bo jeszcze większe nieszczęście się sprowadza. Raz, raz jedyny próbowałem i to zniszczyło mnie i ojca twego.

REMBOWSKI. Ojca mego?

RUSZCZYC. Tak, moje dziecko, tak, ale sza! o tem się nie mówi, to takie straszne, takie straszne — w chwili, gdy wbiegłem do jego gabinetu, a on leżał tam z przestreloną skronią... Cicho, cicho... jak mnie to boli!... Widzę go, widzę...

REMBOWSKI. Czyś ty temu winien? coś zrobił? powiedz mi wreszcie.

RUSZCZYC. Nic, nic, — tylko pamiętaj, pamiętaj, kłamstwo lepsze od prawdy — nie trzeba przeznaczeniu przeszkadzać. A jeżeli się nie umie kłamać, to milczeć, milczeć...

Pauza.

RUSZCZYC (*nagle*). Kochasz swoją żonę?

REMBOWSKI. Czy ją kocham? Nie myślałem, że miłość może się stać takim cierpieniem.

RUSZCZYC. Ona nie kocha cię?

REMBOWSKI. Nie tak, jak ją, a to boli, boli...

RUSZCZYC. Cóż ten pan Zygmunt tu robi?

REMBOWSKI. Jako? Przyjechał do mnie na wakacje.

Wiesz przecież, jak go lubię. I żona go bardzo lubi.

Daleki jej kuzyn. Czemuż się o to pytasz?

RUSZCZYC. Jesteś pewny twej żony?

REMBOWSKI. Jak najzupełniej. Wszystko zrobi, ale tego nie. Przytem Zygmunt za bardzo przywiązany do mnie...

A, głupstwo! Śmierć nie tak pewna, jak to, że ani on, ani ona... (*nagle*) Jakto? masz podejrzenie?

RUSZCZYC. Niech Bóg zachowa. Tylko się lękam, bo tak się wszystko mści na świecie, tak strasznie, bezlitośnie się mści, a koła przeznaczenia miażdżą ludzi, jak ten święty wóz indyjski... To piekielna rzecz — przeznaczenie... I długo Zygmunt zabawi?

REMBOWSKI. Teraz pisze swój romans.

RUSZCZYC. Tak, tak, to znaczy jest literacko czynny — och ci literaci! — to dziwny naród, pisze i pisze i pisze — a życie inną drogą się toczy, a koła przeznaczenia miażdżą ludzi, ale oni tego nie widzą; im się zdaje, że to rozumem objąć można... he, he... a życie, to kanał podziemny, podziemny, niewidzialny, kanał, do którego jeszcze nikt nie zeszedł; wszystkie pochodnie w nim gasną...

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI, IRENA
wchodzi.

REMBOWSKI. No i cóż, piękna pani? kazała pani długo na siebie czekać.

IRENA. Wybacz, ale tak mi było trudno dziś wstać — nieznośny

ból głowy. Pan (*do Ruszczyca*) pewno już od trzeciej na nogach.

RUSZCZYC. Ha, obowiązki, mój szpital...

IRENA (*śmieje się*). Ten szpital pański całkiem pana opanował.

RUSZCZYC. Ha, cóż robić? Jeden ma konie, drugi ma żonę, inny znów dzieci, a ja — szpital. Życie, proszę pani, tylko sportem wypełnić można, mój sport, to szpital... Ha, ha, ha! ciekawy i śmieszny sport — kiedyś znaczki pocztowe zbierałem — ha, ha, za jedną Mauritius mógłbym elektryczne oświetlenie sprawić dla szpitala — ha, ha, ha, byłem młody — pomyśl pani, za jedną Mauritius z 1853. No, ale pójdę do Łąckiego. Namówię go, aby objął zakład dla gruźlicy — namówię go...

IRENA. Zostań pan na śniadaniu.

RUSZCZYC. Już, już, łaskawa pani, zjedliśmy — zresztą przyjdę tu niezadługo. Jak Łąckiego nie znajdę, to przyjdę... Ach, ten Łącki, tak się opuszcza, głowę ma zajęta głupstwami. Myśli i myśli, osowiał, wczoraj bandaż fałszywie założył... (*z komiczną miną*) gdybym wszystkiego nie dojrzał, to w połowie chirurgicznych wypadków gangrena bez wszystkiego... Ach jaki ja śmieszny z tą manią szpitalną! A mam przeciw tę zasadę nie przeszkadzać przeznaczeniu.

Wszyscy się śmieją na pozór wesoło.

RUSZCZYC. No, do widzenia. Przyjdź tylko zaraz, Gustaw, zrobiłem ci wielką niespodziankę. Ucieszysz się. Wiesz co? salę operacyjną kazałem kachlem wyłożyć. — A co? Prosiłeś raz o to — zrobiłem Ci niespodziankę... Co?

REMBOWSKI. Co mówisz?

RUSZCZYC. Zobaczysz... do widzenia.

Wychodzi.

SCENA CZWARTA. IRENA (*lękliwie*). Wiesz, tak dawno REMBOWSKI i znam już Ruszczyca, a za każdym IRENA. razem, jak go widzę, zbiera mnie taki dziwny lęk — powietrze staje się duszne — jakaś parność — a przytem te podkreślane słowa, te niedopowiedziane rzeczy — coś jakby przecucie nieszczęścia. Cóż to za człowiek?

REMBOWSKI. Ruszczyca? co to za człowiek? Hm — sam dobrze nie wiem.... Po śmierci ojca zajął się mną, przygarnął, wychował — zdaje się, że dla tego tylko wybudował szpital, by mnie zrobić dyrektorem — wbrew swej zasadzie wybudował szpital, bo on nie chce się sprzeciwiać przeznaczeniu — a przeznaczeniem umrzeć! A zresztą bo ja wiem, może kocha ludzi — a kochał, bardzo kochał ojca...

IRENA. Ile prawdy w tem, że odegrał bardzo ważną rolę w życiu twego ojca?

REMBOWSKI. Nie wiem, nie pytam — wiem, że musiało być bardzo tragiczne.



IRENA. A matka twoja?

REMBOWSKI. Nic nie wiem o matce.

IRENA. Czyżby?

REMBOWSKI. O matce, która ojcu życie zmarnowała, dziecko nie powinno nic wiedzieć.

IRENA. Strasznie brutalne powiedzenie.

REMBOWSKI (*ostro*). Tak! Ale tak powinno być.

IRENA. Coś taki gwałtowny?

REMBOWSKI (*hamuje się*). Przepraszam cię, źle spałem (*całuje ją w rękę*). Wybacz, ta cała moja podróż nie tylko nie była potrzebną, ale rozdrażniła mnie.... (*zamyśla się*). Zresztą Ruszczyc? Kto jest Ruszczyc? Hm, bo ja wiem — może sumienie, jakiś podziemny głos w człowieku, przecucie — Ruszczyc wszystko widzi i wszystko wie.... Czem Ruszczyc dla mnie? Wszystko mu zawdzięczam, wszystko, to przede wszystkim, że mogę cię otoczyć zbytkiem, że mogę dać ci wszystko, co zapragniesz, że mogę pracować naukowo, bo najniepotrzebniej w świecie przydał mi Łackiego — (*gwałtownie*) najniepotrzebniej....

IRENA. Coś taki podrażniony?

REMBOWSKI. Ale gdzież tam!

IRENA (*podejrzliwie*). Dla czego drażnisz się, jak wymawiasz nazwisko Łackiego?

REMBOWSKI. Ja? drażnię się?

Milczenie.

IRENA. Słuchaj, kiedy byłam jeszcze twoją narzeczoną, dostałam jakiś anonim, że masz stosunek z Łącką.

REMBOWSKI. I ty temu wierzyłaś?

IRENA. Chwilę może. Ale zmusiłam się, by nie wierzyć.

Każda niewiara z mej strony do pasy cię doprowadza.

Milczenie.

IRENA. Mówisz, że dziecko ma pogardzać matką, która ojca zdradziła?

REMBOWSKI. Nie, nie powiedziałem tego.

IRENA. Powiedziałeś przed chwilą.

REMBOWSKI. Źle mnie zrozumiałaś.

Milczenie.

IRENA. Boże, jakie to życie dziwne.

REMBOWSKI. A tak, dziwne....

IRENA. Wiesz, jak będziesz takim, jak teraz jesteś, to oszaleję.

REMBOWSKI. Jaki jestem?

IRENA. Niespokojny, zgryźliwy, smutny, bo ja wiem? u nas w domu jesień — jesień, pochmurne dni, deszcze, żółkłe liście....

REMBOWSKI. Inka, Inka, co ty mówisz?

IRENA (*wybuch*). Od chwili jak w twój dom wstąpiłam, jesteś posępny, pochmurny — chodzisz, śledzisz i badasz każdy mój krok. O wszystko jesteś zazdrosny — każde moje słowo nicujesz... Wiesz, jak kocham taniec — zaprowadziłeś mnie na bal — nigdy

już nie pójdę. Byłam wesołą, bawiłam się, a ty — ty, och, nie mówiłeś słowa, niczem się nie zdradziłeś, ale czy myślisz, że nie wiem, jaka burza w tobie szalała? Namiętnie lubię ślizgawkę i łyżwy. Raz sam mnie zaprowadziłeś — a potem, potem... ha, ha — zamknąłeś się w swojej pracowni, dwa dni nic do mnie nie mówiłeś — nie mówiłeś! Czemuś mnie nie zbił, nie stratował, aleś się zaciął i nic nie mówiłeś. To gorsze od bicia!

REMBOWSKI. Inka, Inka, kocham cię zabardzo. Czy ty nie rozumiesz tej męki, gdy widzę cię w obcym objęciu — gdy widzę cię przytuloną do innego... To piekielny wynalazek ten taniec... A zresztą wiesz, wiesz... (*podchodzi ku niej gwałtownie*). Daj mi tę pewność, że mnie kochasz, daj, daj — a na wszystko będę spokojny — niech tylko wiem, że mnie kochasz...

IRENA. Kocham cię, ale zamęczasz mnie, chcesz zabić moją wiosnę, chcesz stłumić moją wesołość — wiem, że nienawidzisz mnie, gdy jestem wesoła, nie lubisz, gdy tańczę, ale ty mnie nawet wtedy nie lubisz, gdy się śmieję....

REMBOWSKI. Słuchaj, — to nieprawda. Przeszło pół roku żyjemy ze sobą. Jeżeli byłem taki wobec ciebie, jak mi zarzucasz, to może była przyczyna do tego. Nic ci zarzucić nie mogę, byłaś wzorowa. Ale musi być w mej duszy coś, co ci niedowierza. Ta druga dusza,

ta ukryta, ta dusza poza świadomością jest niespokojna, męczy się i szarpie i lęka się, że cię stracić może. Tak, męczę się, męczę, bo się zlać z tobą nie mogę, bo nie mogę cię stopić w sobie — bo mi coś mówi, że jestem tylko przydrożną stacją w twojem życiu.

IRENA. Gustaw! Gustaw! Nie mów tego!

REMBOWSKI. Muszę mówić, muszę ci wreszcie wszystko powiedzieć.

IRENA. Jezus Marya, jakiś ty podrażniony.

REMBOWSKI. Nie! nie jestem podrażniony. Ale ten lęk, że mógłbym cię utracić, do szaleństwa mnie doprowadza. Ha, ha... wiesz, czym ty jesteś dla mnie? Kocham cię tak, jak nikt przedemną i po mnie kochać cię nie będzie. Wiesz, w Australii czy w Indjach rosną podobno drzewa, bliźnie drzewa, ha, ha, bliźnie drzewa — nie! kochające się drzewa... I wiesz, jak to wygląda? Otóż rośnie sobie taki smukły, silny pień, energiczny, mocny... ot — taki wielki pan! Ale tuż obok niego wyrasta drugi, smukły, wiotki, tuli się do niego. przyciska, przygarnia, omal, że nie wrasta w niego. Ale cóż się dzieje? Otóż temu słabemu, wiotkiemu pniowi wyrastają gałęzie — nie! ramiona, chciwe, szatańskie ramiona. Obejmują go, wżerają się w ten silny, energiczny pień — przytulają się coraz mocniej, namiętniej, wcinają się w skórę, przerastają ją, przerzynają korę i żyły — i ten pierwszy, ten silny i mocny pień usy-

cha. — Ha, ha, — wystaw sobie! taki martwy, uschły pień w objęciach bliźniego, słabego drzewa. Widzisz, widzisz — to jest symbol miłości — to stosunek mężczyzny do kobiety....

IRENA (*obojętnie*). Tak? No to czekaj, to ja ci też coś powiem. Ot! w Skandynawii istnieje bajka o złych duchach — gnomach — chochlikach... nie! beugi się nazywają — beugi.... Naraz opadną beugi biedną kobietę. Złośliwe, niewidzialne, straszne. Gryzą ją, kasa ją, szczypią. Biedna kobieta się broni, uderza na wszystkie strony, cierpi, szaleje, szamoce się, ale napróżno walczy, bo nic nie widzi — i nigdy się obronić nie może i nie będzie mogła — bo — bo... (*śmiejąc się*) bo nie wie, skąd napaść przyjdzie, z której strony beugi ją opadną — ha, ha — jak się bronić, jeżeli się napastnika nie widzi?... Ha, ha, to też symboliczne, to podejrzenia, niewiara, to zazdrość mężczyzny.

Patrzą na siebie chwilę.

REMBOWSKI (*przeciągłe*). Tak?

IRENA (*twardo*). Tak!

REMBOWSKI. No i cóż?

IRENA. Nadejdzie chwila, gdzie się nad biedną kobietą wszystko załamie.

REMBOWSKI. I?

IRENA. I? Bo ja wiem? Cierpienia robią człowieka nie-poczytalnym.

Długie milczenie.

REMBOWSKI. Inka! może masz słuszość. Tak! jestem niesprawiedliwy dla ciebie. Ale wiesz, popełniam jeden grzech — tak! grzech! kocham cię, a miłość jest grzechem. Trudno! jest! nie wiesz, co się ze mną wczoraj działo. Wróciłem — miesiąc cały cię nie widziałem. Byłaś dobrą i słodką — prawda! Ale skarżyłaś się na ból głowy. Dobrze! powiedziałem sobie, ale przecież przyjdzie do mnie. — Całą noc oka nie zmrużyłem.... ot! głupi jestem.... Wybacz (*całuje ją w rękę*). Widzisz, ja już stary, tyś o dziesięć lat młodsza odemnie... Mam już narowy starego męża.... ha, ha,— no? śmieję się! (*podchodzi ku niej*). Śmieję się Inka — śmieję....

IRENA (*wybuchając płaczem*). Och Gustaw, Gustaw — słońca! światła! muzyki, tańca....

REMBOWSKI. Uspokój się... już wszystko dobrze — tak — tak! słońca, światła.... Dziś będziesz miała i taniec i muzykę — wybacz, wybacz, wybacz, moja ty.

IRENA (*uspokajając się, głaszcze go*). Jakiś ty dobry, tylko taki smutny. Mówiono mi, że dzieci starych ojców są bardzo smutne. A twój ojciec był już stary.

REMBOWSKI. Tak, był już stary.

Milczenie.

REMBOWSKI. No więc... zaproszę dziś gości... będzie taniec i muzyka... (*nagle*). Ale Zygmunt mógłby wreszcie nadejść. Piekielny śpioch.

IRENA. Pracuje po nocach.

REMBOWSKI. Och ci literacil! (*Pobłaźliwie*). Czyż nie mogą we dnie pracować jak zwykli śmiertelnicy? Godzina jedenasta... (*po chwili*). Wiesz, bardzo go lubię....

IRENA. Pokazałeś to.

REMBOWSKI. II Nie ma o czym mówić.

IRENA. Tyś dobry, Gustaw, tyś za dobry....

REMBOWSKI. Hm. To jeszcze pytanie... Ale dziś będziesz się bawić. Dziś nie będę zazdrosny. Tak! Jestem niesprawiedliwy.

SCENA PIĄTA.

REMBOWSKI. No wreszcie! (*Witają się serdecznie*).
(*Wchodzi Zygmunt*).

PRZESŁAWSKI (*do Ireny*). Kuzyneczka dobrze spała?

IRENA. Przedziwnie.

PRZESŁAWSKI. Ból głowy minął?

IRENA. Prawie.

REMBOWSKI. A nie spóźniaj się tak na śniadania — całą godzinę czekamy na ciebie.

PRZESŁAWSKI. Wybacz, słodki chłopie, ale dziś w nocy uśmierciłem jednego pana, którego bardzo lubię. ha, ha, ha — możesz sobie wystawić, jak bardzo nad nim bolałem.... (*Je i pije i w przerwach opowiada*). A wiesz — bajeczny pan, taki książę, który się nudzi — no więc się nudzi, i już nic jego nudy

zabić nie może.... Chwilę go to bawiło, że motłoch się zbiera naokoło jego fontanny w pałacowym ogrodzie. — Rozumiesz fontanna tryszczy winem, zamiast wody.... Możesz sobie wystawić, jaki piekielny zamęt, jaka zaciekła walka między motłochem, by się dorwać do fontanny i chociaż na jeden łyk pochwyć wina w blaszankę, w czapkę, w co się da...

REMBOWSKI. No i co?

PRZESŁAWSKI. Księżę stoi na balkonie. Patrzy na to, z początku go to bawi, ale tak się już przyzwyczał do tych niedzielnych burd, że i to go nudzić poczyna.

REMBOWSKI. He, he, a miał piękną zabawę. Jak się ten motłoch tłukł, bił, przewalał naokoło tej fontanny....

PRZESŁAWSKI. A tak. Ale posłuchaj — księżę znużony chce schodzić z balkonu — zbyt się już otrząskał z tem wszystkim i nudzi się — ale naraz....

IRENA. Naraz?

PRZESŁAWSKI. Patrzy zdziwiony. Poza całą tą gromadą, która się tłucze, bije, dusi się, by się dostać do fontanny, stoi jakiś młody pan — zatknął na długiej żerdzi ogromną gąbkę, podstawił ją pod fontannę, napawa ją winem, zwolna żerdź obsuwa, bierze gąbkę do ust, wysysa ją i znowu podstawia...

REMBOWSKI i IRENA. Ha, ha, ha....

REMBOWSKI. No i cóż dalej?

PRZESŁAWSKI. Tak się to księciu podobało, że zro-
bił go ministrem finansów.

IRENA. No, i jak prowadził finanse?

PRZESŁAWSKI. Książę po roku zbankrutował.

Irena i Rembowski śmieją się.

PRZESŁAWSKI. To tylko mi dolega, czy to mój ory-
ginalny pomysł. A może to gdzieś wyczytałem? Wiesz,
u nas literatów to strasznie trudno rozstrzygnąć, co
moje, a co twoje. Siódme przykazanie bardzo mało
przestrzegane. No, ty już wiesz, że Szekspir brał bez
wszystkiego temata z włoskich noweli — ha, ha, ha! —
Szekspir ojcem złodziei literackich.

IRENA i REMBOWSKI. Ha, ha, ha!...

IRENA. No i co się stało z księciem?

PRZESŁAWSKI. Dostał powaryowania zmysłów — ta-
kie biedactwo! Ha, ha, ha... Morze mu się zapaliło,
góry rozwodniały — a wreszcie robi się piekielny
chaos...

REMBOWSKI. Pan Zygmunt dziś bardzo zgryźliwy....

PRZESŁAWSKI. Ach! jak ja sobie kpię z całej litera-
tury! Jakie to nieskończenie śmieszne! Spojrzę w mi-
kroskop, a jak Boga kocham nie umiem w niego pa-
trzeć — a w tej chwili krytyka cała sztuka tych no-
wych światów, bo przecież jestem takim panem od
takiego interesu, by nowe światy odkrywać — ha, ha,
ha... A dali Bóg, nic nie widziałem, ani mi się nie

śniło coś widzieć. Napiszę, że on tęsknił za nią, to tym panom od krytyki to nie wystarczy — ten on, to geniusz, a ta ona to poezya — ha, ha, ha!

Śmieje się serdecznie.

REMBOWSKI (*do Przesławskiego*). Jak to dobrze, żeś przyjechał — jesteś bardzo wesoły. (*Znacząco*). A tu u nas pochmurne dnie, jesień, pożółkłe liście...

PRZESŁAWSKI. A tak, wesoły, dali Bóg, piekielnie wesoły.... Nie masz wyobrażenia, jak mnie kochają poborcy podatkowi. Od siedmiu lat jednego centa podatku nie zapłaciłem. Chociażbym miał miliony, to taki poborca wystawia mi kwit: »Nic nie ma do zafantowania«. A wychodzą przedziwnie weseli odemnie — pijani, że iść nie mogą... Ha, ha, ha — moja specjalność, to nie płacić podatków...

REMBOWSKI. Dziwnie jesteś wesoły... jak to dobrze, żeś przyjechał, wniosłeś trochę słońca... (*patrzy nagle na zegarek*). To już pół do dwunastej; Ruszyc się wścieknie — chciał mi pokazać nową salę do operacyi. Do widzenia — pospiesz się Inka z obiadem, zaraz po południu muszę jechać — do widzenia, Zygmunt (*dzwoni na lokaja*). Wieczorem wrócę, będą goście u mnie — taniec — słońce — światło... (*lokaj wchodzi*). Powóz! Do widzenia (*wychodzi*).

SCENA SZÓSTA. PRZESŁAWSKI. Wiesz, nie wytrzymam dłużej — nie mogę. Męczę się, że zdaje mi się, jakby mi cały świat na piersi się zwał. IRENA (długa chwila milczenia).

IRENA. Boże, Boże, Boże... Cóż będzie, coź będzie?

PRZESŁAWSKI. Inka! Trudno, takiem jest życie! Trzeba będzie mu wszystko powiedzieć. On za dobry, za piękny, by go oszukiwać. Nie można.

IRENA. Boże, ja taka słaba, taka nieszczęśliwa. On mnie tak męczył. Po cóż on mnie tak męczył?

PRZESŁAWSKI. Nie wierzył ci!

IRENA. Czemuż mi nie wierzył? Ja byłabym go tak kochała, gdyby był tylko trochę, odrobinę inny.

PRZESŁAWSKI. Nie mógł być innym; dusza jego czuła, że jest ci obcym.

IRENA. Boże, Boże... jakiś ty twardy — jaki ty twardy!

PRZESŁAWSKI. Nie powinnaś była za niego wychodzić, kochając mnie.

IRENA. Wiesz przecież, dlaczego za niego wyszłam! Ciebie straciłam....

PRZESŁAWSKI. Mnie?

IRENA. Tak, ciebie! Przez caluteńki rok słowa do mnie nie napisałeś, a nagle — Boże! czemu, czemu dałeś znak życia właśnie wtedy, gdym była mogła mieć trochę szczęścia?

PRZESŁAWSKI. Bo cię kochałem.

IRENA (*gwałtownie*). Tak, kochałeś — pokochałeś wtedy, kiedyś mnie utracił! Och ty, ty, ty...

PRZESŁAWSKI. Inka, Inka! Nic nie wiedziałem...

Chciałem się ukryć. Ty jedna wiesz, jak moja dusza smutna — chciałem spotężnić w samotności, być wielkim, opanować wszystko, zdobyć sławę, majątek — a potem przyjeżdżam do kraju i dowiaduję się, żeś już żoną innego.

IRENA. Czemuś nie zostawił mnie w spokoju?

PRZESŁAWSKI. Bo cię Kocham; i będziesz moją (*tkliwie*). Pamiętasz, jak do twojego ojca przyjeżdżałem na wakacje, jakieś całymi dniami na mnie wyczekiwała? Pamiętasz nasze przechadzki — pamiętasz, jak umieliśmy być weseli i szczęśliwi?

IRENA. Nie mów, nie mów — on taki dobry, on tak mnie kocha.

PRZESŁAWSKI. A ja? ja?... (*zamyślony*). Jestem ostatni łotr, że to robię, co robię, że ciągnę cię w przepaść — ale Kocham cię — takie jest życie! Moje szczęście będzie zbrodnią, na nim spełnioną. Trudno. I ja go Kocham, a wszystko, co zrobić mogę, to to, by go nie oszukiwać.

IRENA. Jakiś ty twardy, jakiś ty straszny, jakiś okrutny!

PRZESŁAWSKI. Inka? Pamiętasz? Te noce, te cudowne noce w topolowej alei? Inka! Nasze sny, nasze

szczęście — a pomnisz? ta jedna święta chwila nad stawem... zdawało się nam, że słyszymy ruch i obroty światów, taka straszna cisza była... Powiedziałem ci wtedy, że cię kocham...

IRENA. A parę dni później wyjechałeś.

PRZESŁAWSKI. Musiałem. Miłość może być tak głęboką, że zabija człowieka nawet wtedy, gdy się jest szczęśliwym w miłości... jest, jest takie szczęście, które zabija — ach ty nie wiesz...

IRENA. Wiem, przeczuwam...

PRZESŁAWSKI. Ze mną?

IRENA. Sprzeniewierzyłeś mi się — wtrąciłeś mnie raz w nieszczęście i teraz drugi raz, w gorsze, w straszniejsze...

PRZESŁAWSKI. Kocham cię!

IRENA. Jakiś ty straszny! A ja taka słaba, taka biedna. Oprzeć ci się nie mogę. Twe oczy, jak dwie duże wściekłe gwiazdy, błędne ognie, co mnie w topiel prowadzą... Lękam się ciebie. A on taki dobry — on wszystko czuje — dziś, dziś prosił mnie o przebaczenie, gości sprosił, będzie taniec, muzyka, szampan — słońce, światło — ha, ha, ha! biedny oszukany — ach, jak ja cię nienawidzę.

PRZESŁAWSKI. Kochasz mnie, kochasz!

IRENA. Jak ja się ciebie lękam!

PRZESŁAWSKI. Kochasz mnie kochasz! (*twardo*). I bę-

dziesz moją. Ja mam prawo do ciebie. Kochałem cię od dziecka. Nikogo, prócz ciebie. Niemogłaś poczekać?...
IRENA (*z krzykiem*). Czekałam, czekałam! Ale powiedziano mi, że cię już niema — żeś znikł, — w morzu się utopił — bo ja wiem... A on był taki dobry, — on, jedyny człowiek, który był dla mnie dobry — tyś był zawsze twardy — ja się ciebie zawsze lękałam...

PRZESŁAWSKI. Słuchaj! będę tak dobry dla ciebie, jak matka nie może być dla chorego dziecka. Dam ci wszystko. Wszystko. Jestem teraz bogaty — chcesz białe pawie? Dostaniesz białe pawie — a są w Chinach białe pawie... Chcesz drogich kamieni? Dostaniesz drogie, najdroższe, rzadkie kamienie — chryzolyty? ametysty? purpurowe ametysty — co? Chcesz poematy? stworzę ci taki, jakiego nikt przedtem nie stworzył — będziesz tańczyć, będziesz wesołą, a zapragniesz cierpienia, to stworzę ci takie, co w rozkosz przechodzi...

IRENA. Jak ja się ciebie lękam... jakiś ty straszny!

PRZESŁAWSKI. Każda miłość jest straszna! Słuchaj! tyś piękna, tyś młoda, spragniona wrażeń... Chcesz, powiozę cię w Pireneje... tam takie maleńkie miasteczko, przyczepione, przylepione do olbrzymiej skały — pomyśl, przylepione, tak jak wioska kafrów przyczepiona do szczytów dziewiczych drzew w dziewi-

czych lasach — chcesz powiozę cię nad brzeg Tajo — tam miasto wymarłe — miasto śmierci... chcesz, zawiozę cię w piekielne żary Afryki, albo do dzungli indyjskich. I ja będę dobry, ja będę stopy twe całował, ja każę ci zapomnąć o wszystkim... każę, każę, każę...

IRENA. Och, jakiś ty straszny!

PRZESŁAWSKI. Och, nie tylko straszny, ale łotr, łotr, łotr. Miłość moja ku tobie zrobiła mnie łotrem...

IRENA. Cicho, na Boga, cicho, bo oszaleję.

PRZESŁAWSKI. Łatwo oszaleć, ale teraz trzeba twardo, jasno, szczerze, spokojnie życiu spojrzeć w te ohydne, złośliwe ślepie. Och tak! toby było tak łatwo, zdradzać go po za jego oczyma. Lubi mnie. Nawet we śnie nie przypuszcza, że ty i ja... więc musisz się zdecydować — (*cicho na kolanach*) na rękach będę cię nosił, pokażę ci wszystkie cuda...

Pukanie do drzwi.

PRZESŁAWSKI (*zrywa się opanowany*). Proszę!

LOKAJ. Pan Ruszczyc.

PRZESŁAWSKI. Poproś pana. (*Do Ireny*). Teraz proszę, byś była silną. Ten błazen chciałby mieć nad nami przewagę. Nie pozwól, by tryumfował...

SCENA SIÓDMA.

IRENA. Cóż pan taki ceremonialny?
Wchodzi Ruszczyc.

RUSZCZYC (*wesoło*). Ja? Ależ Boże uchwaj. Przecież to mój dom. Jestem pani nieskończenie wdzięczny za tę uwagę, teraz wiem, że jestem w moim domu... Bardzo jestem pani wdzięczny... Szukałem Gustawa, ale jakby się w ziemię przepadł...

IRENA. Co dopiero wyszedł.

RUSZCZYC. Pewno pojechał do miasta, a szkoda, jestem niecierpliwy, chcę mu pokazać salę operacyjną... Pomyśl pani, porcelanowe ściany — ha, ha! — w Berlinie nie ma tego... (*siada i patrzy uważnie*). Przecież nie przeszkadzam?

IRENA. Ależ panie...

RUSZCZYC (*do Zygmunta*). A jakże tam pańska praca? Słyszałem, że pan znowu romans pisze.

PRZESŁAWSKI (*obojętnie*). A tak! piszę.

RUSZCZYC. Czytałem ostatnią rzecz pańską — bardzo piękna i silna i mocna. To pana może dziwi, że ja czytam dzieła młodych autorów?

PRZESŁAWSKI. Nie, zupełnie nie. Wiem, że pana nie tylko szpital zajmuje.

RUSZCZYC. A tak! nie tylko szpital — sprawy życiowe przeważnie, patrzę, obserwuję życie, mógłbym dużo rzeczom zapobiedz — dużo nieszczęść załagodzić, ale pan już pewno słyszał o mojem dziwactwie: nigdy nie przeszkadzam przeznaczeniu. Jestem zbyt silnie zbyt głęboko przekonany, że co się stać ma, stać

się musi. Chcieć skierować drogę przeznaczenia, znaczy powiększyć nieszczęście. bo przeznaczenie i nieszczęście, to prawie to samo — czy nie tak, pani Ireno?

IRENA. Nie rozumiem pana...

RUSZCZYC. Ot, jak komuś coś od dziecka przeznaczone, jak n. p. dajmy na to: dzieci się w sobie zakochają, to ta miłość trwa i trwa i już zostanie — ha, ha, ha! — kiepski i głupi przykład — najwyborniejszy przykład, to najpospolitszy, ot: jak kto ma umrzeć, to umrze, albo też: co ma wisieć nie utonie — ha, ha, ha!...

PRZESŁAWSKI. Pan dziś widocznie w wybornym humorze. Dowcip rzeczywiście niezwykły.

RUSZCZYC. A co? jestem dowcipny w kiepskim gatunku — trudno! jestem częstką natury, a natura, tylko w kiepskim gatunku dowcipna. Wszak tak, pani Ireno?

IRENA. A pewno.

Milczenie. Ruszczyć kręci papierosa.

RUSZCZYC (*po chwili*). Tak, książka pańska zrobiła rzeczywiście na mnie silne wrażenie, ale i przykre. To mianowicie, że ten młody pan, ten literat przyjeżdża do męża swej kuzynki, do męża, a więc do przyjaciela, który mu dużo dobrodziejstw wyświadczył — ale mniejsza o to — bo jeżeli ktoś wyświadcza dobrodziejstwo komu innemu, to robi to, bo spr-

wia to pewien rodzaj rozkoszy — he, he... nieprawda? To całkiem nie zobowiązuje.

PRZESŁAWSKI. Zupełnie pana nie rozumiem.

RUSZCZYC. Jakto? Nie przypomina sobie pan treści własnej książki? Ten literat, który uwodzi kuzynkę swoją. a żonę przyjaciela...

PRZESŁAWSKI. Oszalał pan?

RUSZCZYC. Ach przepraszam, przepraszam — pomyliło mi się — to zupełnie inna książka — tak, tak — to książka innego autora. Widzi pan, pamięć słaba... Ale wie pan, temat bardzo dobry, ciekaw jestem jak się pan zapatruje na cały ten konflikt moralny. Bo to przecież nie bagatela uwieść żonę swego przyjaciela, kuzynkę swoją...

PRZESŁAWSKI. Gdybym nie znał zacności i poczciwości pańskiej, to gotówbym był posądzić pana, że się pan ośmiela robić całkiem niedowcipne aluzje — całkiem niedowcipne.

RUSZCZYC. Maszci teraz! Gotówem pomyśleć: uderz w stół, a nożyce się odezwą — ha, ha, ha! — Panie kochany, byłoby to obrazą (*bardzo poważnie*), wielką obrazą przedewszystkiem dla pani Ireny i dla Gustawa, a Gustaw i Irena, to dzieci moje — nie, nie, kochany panie — mnie interesuje tylko problem psychiczny.

PRZESŁAWSKI. No i cóż?

RUSZCZYC. Widzi pan, ja człowiek starej daty — ale

pewne rzeczy rozumiem. Kocha się żonę swego przyjaciela — nieprzewyciężenie — miłość silniejsza od głosu sumienia — no więc?

PRZESŁAWSKI. To kwestya. Pan, który w przeznaczenie wierzy, powinien odpowiedzieć: albo sumienie i obowiązek zwycięży, albo miłość...

RUSZCZYC. Tak, tak... Pan ugodził w moją słabą stronę... A gdyby tak uciec — uciec, kochany panie — zaraz w tej chwili... Bo, bo — może jeszcze nie grozi żadne niebezpieczeństwo — może to jeszcze drobna rzecz... Pan, dajmy na to, pochylił się nad żoną tego fikcyjnego przyjaciela — ona miała chwilę słabości, skłoniła głowę na pierś pańską — potem jedno długie — przeciągłe słowo...

IRENA (*zrywa się*). Jezus Marya!

PRZESŁAWSKI. Pan nas szpieguje?

RUSZCZYC. Ja? Nie, nie, — tylko jeszcze czas... Ja nic jeszcze nie widziałem. Nic, nic — a gdybym widział, to bym rozumiał: Niedobrana para, no itd. Wprawdzie mąż dobry, szlachetny, a może, Bóg wie, może to jedyny człowiek, który, dajmy na to, panią kocha, przy którym dobrze i spokojnie — to później się dopiero zrozumie — wtedy, jak już zapóźno... zapóźno, pani Ireno!

Milczenie.

PRZESŁAWSKI (*chodzi nerwowo, potem przystaje*). Panie Ruszczyce!

RUSZCZYC (*przerzywa mu*). Ależ panie, ja wszystko rozumiem — ja tylko radzę, by wyjechać, czempredziej wyjechać! bo proszę pana obraz zdradzonego przyjaciela, to straszna rzecz. I tak — ot posłuchaj pani — obraz zdradzonego męża jeszcze straszniejszy. Pomyśl pani, ta piekielna pamięć he, he — i to właśnie w chwilach szczęścia staje przed oczyma ten mąż, który się gryzie, który może już posiwiął, który chodzi po pokoju jak dzikie zwierzę w klatce... I ta myśl nie daje spokoju — i ot! wytwarza się zwolna naprężony, nerwowy stan. Pomiedzy kochankami zajdzie lekka sprzeczka, potem następuje rozgoryczenie, potem nienawiść, potem tęsknota za zdradzonym mężem, który tak kochał i tak był dobry... Panie Przesławski, opamiętaj się pan! jeszcze czas — jeszcze nie za późno. Pani Ireneo, ja panią kocham jak własne dziecko — (*nagle*) ha, ha, ha — zabajałem się — całkiem zapomniałem, że Gustaw pewno na mnie czeka... (*bierze kapelusz*) jeszcze nie zapóźno... Pani Ireneo — pamiętaj pani! Gustaw, Gustaw, Gustaw!... (*Wychodzi*).

IRENA (*wybucho płaczem*). Jezus!

SCENA ÓSMA.

Jezus! Gustaw!

PRZESŁAWSKI. Tak! Gustaw!

(*wstaje i podchodzi ku Ireneo*). Więc co Inka?

IRENA. Co? co? Ach lęk, lęk — taki lęk.

PRZESŁAWSKI. Nie kochasz mnie?

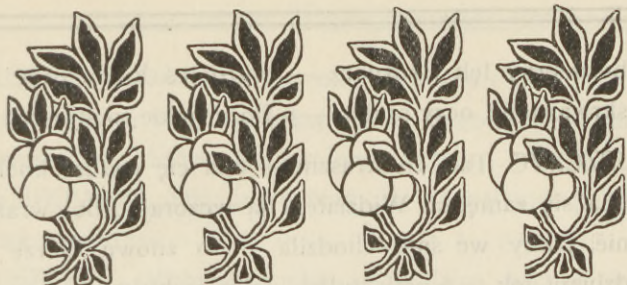
IRENA. Ach kocham, kocham, ale jedź, jedź, jedź...

Zaraz, zaraz....

PRZESŁAWSKI. Nie Inka — nie pojedę. Ja mam prawo do ciebie, ja cię kocham — popełniam zbrodnię, straszną zbrodnię, ale teraz walczę już o życie moje — a umrzeć jeszcze nie mogę... a bez ciebie żyć nie chcę.

IRENA (*nagle zrywa się*). A! niech się stanie! — w przepaść — w piekło, ale z tobą (*rzuca mu się na szyję — łka gwałtownie*).

K U R T Y N A.



AKT DRUGI.

Salon wytorny. Pod wieczór.

SCENA PIERWSZA.

RUSZCZYC i REM-
BOWSKI.

RUSZCZYC. Bardzo mi Łąckiego szkoda, to nadzwyczaj zdolny lekarz. Ale trudno. Po cichu wystarał się o miejsce za granicą.... Trudno — hm — widocznie nie stało mu sił, by się dalej męczyć. Zresztą czułem,

jak jego nienawiść ku tobie wzrastała, w miarę, jak stan jego żony się pogarszał...

REMBOWSKI. Tak to wszystko straszne — ale dobrze że go i ją z oczu stracę. Za każdym razem, jak go widziałem, to serce mi bić przestawało. Czułem się jak zbrodniarz wobec sędzi śledczego — tak! zbrodniarz z bijącym sercem, że już, już schwyta mnie na jakim niezręcznym powiedzeniu, że za chwilę się czemś zdradzę... Gdybyś ty wiedział, jakem się namęczył... Nie wiem, cobym zrobił, gdybym ją teraz gdzie spotkał. Te jej straszne przerażone oczy; ten

bezwierny lęk i rozpacz — widziałeś kiedy oczy —
skrwawione oczy ptaka — o Boże! jakie to straszne...

RUSZCZYC. Tak, to straszne — ona cię jeszcze kocha,
ona się zamęcza. Widziałem ją wczoraj. Robi wrażenie,
jakby we śnie chodziła — to znowu bierze ją
dziwny lęk — a przy stole — jakie to było okropne —
twarz nie drgnęła, była blada, wiesz, tą przejrzystą
bladością, z poza której śmierć wyziera, a po tej nie-
ruchomej, trupiobladej twarzy ciekły ogromne perły
łez. Uczułem dziwny smutek i cześć i niezmierny
szacunek dla tych łez — był w nich majestat bólu
was wszystkich — was wszystkich. Wy wszyscy tacy
biedni....

REMBOWSKI. Tak my bardzo biedni.... *(z lękiem)*
A Łącki? cóż Łącki?

RUSZCZYC. Łącki? Siedział straszny, blady, groźny.
Patrzył na te łzy, twarz mu drgała jak w skurczu —
słowa nie powiedział — tylko patrzył — patrzył. — Oczy
jego przyrosły do tych łez — on je pił swojemi oczy-
ma, pił — pił.... miał straszną rozkosz męczarni, jak
te łzy rozpaczcy za innym — he, he — łzy za tobą
spływały krwią i ciecżą ołowiu do jego serca...

REMBOWSKI. Jak ty mnie męczysz — czemu mi to
mówisz? Wiesz, chwilami mi się zdaje, że się chcesz
znęcać nademną.

RUSZCZYC. Och, nie, nie, moje dziecko — ale dobrze, że będziesz miał dokładny obraz tego spustoszenia, zniszczenia, które jest twojem dziełem....

REMBOWSKI. Dla czego mam się więcej męczyć, jak się męczę?

RUSZCZYC. Może tą męką załagodzisz mściwe przeznaczenie. Bo te rzeczy strasznie się mszczą... A jeżeli nie odwrócisz tej zemsty, to łatwiej zniesiesz to, co cię spotkać może — ukorzysz się, uderzysz w piersi i powiesz: moja wina, moja wielka wina...

REMBOWSKI. Nie mów już, nie mów — taki dziwny strach mnie zdejmuje... Mówisz, czasem, jakbyś był mojem sumieniem.

RUSZCZYC. He, he — jesteś nerwowy, mój synu — nerwowy — nie lękaj się niczego — tylko nigdy nie wiadomo, co się stać może.... Ot! głupstwo....

Milczenie.

RUSZCZYC (*po chwili*). Ha, ha, ha... Twój ojciec okpił to mściwe przeznaczenie.

REMBOWSKI. Okpił?

RUSZCZYC. A, okpił, bo się zastrzelił (*śmieje się cicho*) ha, ha, ha — a może dobrze zrobił — to też ekspiacya — cokolwiek ryczałtowa, ale ekspiacya....

REMBOWSKI. I nie powiesz mi wreszcie, dlaczego ojciec mój odebrał sobie życie?

RUSZCZYC. Bo ja wiem? bo ja wiem?... Jeżeli kto

sobie życie odbiera, to ma tysiąc powodów do tego, he, he — tysiąc i jeden... To tak samo, jak z pijaństwem.... he, he — nie dlatego, żeby pijakowi dobrze z tem było — ale trzeba się zagłuszyć, zdusić coś w sobie... he, he... ale lepsze samobójstwo, to pewniejsze i, że tak powiem sumaryczna, ryczałtowa spłata za — za.... winy — mój Boże — winy? ha, ha, ha.... Przecież nie ma winy, tylko kara jest, kara, kara... (*z dalekiem wspomnieniem*) twoja matka, — he — tak, wybacź, że ci o niej mówię — ty z niechęcią słyszysz o matce... (*wzdryga ramionami*) zła mała twemu ojcu wiarę, ale wtedy, jak on jej życie zła mał... Niema winy, niema winy — he, he, he — tylko kara, kara. kara...

Milczenie.

RUSZCZYC (*po chwili*). A Inka gdzie?

REMBOWSKI. Poszła na spacer z Przesławskim.

RUSZCZYC. Na spacer? Tak sobie po parku. No tak... dawno już?

REMBOWSKI. Zaraz przyjdzie... Ruszczyc, bój się Boga czy ty ją podejrzujesz?

RUSZCZYC. Nie — ale kobieta — wiesz, to inny rodzaj człowieka — my mężczyźni jej psychologii nie znamy — zupełnie nie — my się ustawicznie mylimy, bo sądzimy kobiety na podstawie naszej własnej psychologii — ha, ha, ha — ten stary Adam w mężczyźnie

zawsze głupi, och jak on głupi... My nie znamy kobiety... Trudno! Kobieta jest urodzoną zbrodniarką... Ojcowie kościoła to wiedzieli... Tertulian nazywa ją wrotami piekła — co? — wrota piekła — bajeczny aforyzm. Św. Anzelm mówi, że jest łaźnią szatańską, w której djabeł dusze mężczyzn kąpie — ha, ha, ha...
REMBOWSKI. Tak, to dobrze, dobrze powiedziane...
RUSZCZYC. A miłość jest strasznym nieszczęściem, wielkim nieszczęściem — ha, ha, ha — Był taki pan, ha, ha — spał około tysiąca czarownic, Bodinus, Bodinus... Mądry pan! Mówi, że miłość to stryczek, na którym szatan dusze mężczyzn do piekła wlecze.... ha, ha — powiedział to trochę inaczej, ale to nie szkodzi....

REMBOWSKI. Takiś dziwny dzisiaj....

RUSZCZYC. Ach nie, nie! (*poważnieje nagle*). Nie, nie.... (*po chwili*). Szpital i fundacye filantropijne nie wypełniają życia — No tak! — Jeden zalewa robaką wódką — dość skutecznie — drugi odbiera sobie życie — nadzwyczaj skutecznie — trzeci buduje szpitale — ha, ha, ha..., Na nic się nie zda. Bo grzech się mści — śmiercią, zgryzotą, piekłem....

Lokaj wchodzi.

LOKAJ. Pan Łacki.

REMBOWSKI (*drgnął*). Proś!

Pauza.

SCENA DRUGA. ŁĄCKI (*bardzo sztywny*). Niezmier-
CIŻ SAMI i ŁĄCKI. nie mi przykro, że muszę opuścić
 zakład pański, ale pragnąłem
 mieć samodzielne stanowisko. Właśnie je otrzymałem.
REMBOWSKI. Przed chwilą mi to Ruszczyć powiedział,
 tylko nie pojmuję... (*zmięszany patrzy na niego ner-
 wowo*) jeżeli pan sobie życzy, to i tu może pan w ka-
 żdej chwili być zupełnie niezależny... zupełnie sa-
 modzielny...

ŁĄCKI. Bardzo jestem panu wdzięczny, ale już kontrakt
 zawarłem. Przepraszam, że pana już dawniej o per-
 traktacyi nie zawiadomiłem, ale pan wie, że nie mam
 zwyczaju spowiadać się z tego, co robię i co myślę...

RUSZCZYĆ (*łagodnie*). Bardzo dobry zwyczaj...

REMBOWSKI (*bardzo zmięszany*). Oczywiście, oczywi-
 ście... nie jesteś pan niewolnikiem.

ŁĄCKI. W stosunku do pana — nie! wobec dzieci, ko-
 chany panie — one niewinne, że na świat przyszły —
 nie prosiły o życie... A pan wie, że mam słabość do
 dzieci....

REMBOWSKI (*patrzy na niego niespokojnie*). A tak!
 dużo się robi dla dzieci...

ŁĄCKI. Więcej, aniżeli pan, który ich niemasz, pomy-
 śleć jest zdolen...

REMBOWSKI (*śmieje się przymusowo*). Tak, tak, szczę-
 ścia ojcowskiego jeszcze nie doświadczałem.

ŁĄCKI. O tem się zwykle nie wie... Może jako kawaler — bo to wygodne te kukułcze jajka — co panie Ruszczyc?

RUSZCZYC. Wygodne — ale to się zbyt krwawo mści...

ŁĄCKI. Nie zawsze... Ale cóż chciałem powiedzieć...

Więc mogę być pewien, że pan żalu niema do mnie.
REMBOWSKI. Nie — zupełnie nie.

ŁĄCKI (*znacząco*). Bo widzi pan... hm — dla żony mej potrzebna zmiana miejsca — niezmiernie potrzebna...

REMBOWSKI. Słyszę, że chora...

ŁĄCKI. Tak chora — to nerwowa choroba... Prawda, zapomniałem panu wczoraj powiedzieć o jednym ciężkim neurasteniku, który tu przed paru dniami przybył. Wymaga osobnej metody leczenia — pan wie, zawiedziona, a raczej zdradzona miłość...

RUSZCZYC. To znaczy numer trzeci miliard pięćsetni milion — tylko w tym roku.

ŁĄCKI. Ha, ha, ha... Racya, racya — jaki pan szczęśliwy, że pan nie będzie nigdy numerem w tym szeregu... Jak pan powiedział? Trzecim miliardem, pięćsetnim milionem, ha, ha, ha...

SCENA TRZECIA.
Wchodzi IRENA
i PRZESŁAWSKI.

IRENA (*sztucznie podniecona*). A!
Pan Łącki — (*troskliwie*) jakże się ma żona pańska? słyszałam, że chora?

ŁĄCKI. Tak, chora. Silne podrażnienie nerwów —
zmiana klimatu, a wszystko będzie dobrze...

REMBOWSKI (*do Ireny*). Pomyśl tylko, pan Łącki
opuszcza nas.

ŁĄCKI. Jeszcze nie dziś, nie dziś (*znacząco*) mam jeszcze
parę spraw do załatwienia. Ale wybaczcie państwo,
muszę uciekać — w oddziale dla dzieci jest jedno
dyfterytyczne, przed godziną wstrzyknąłem surowicę...
Do widzenia... (*wychodzi*).

SCENA CZWARTA.

CIŻ SAMI *bez* ŁĄ-
CKIEGO.

PRZESŁAWSKI. Wesoły pan ten
Łącki. Wygląda, jakby ustawi-
cznie był wściekły o to, że się
urodził.

RUSZCZYC. Ha, ha, ha -- rzeczywiście wesoły. Twier-
dzi, że niema kobiety, którejby szatan nie kusił —
nie, inaczej to powiedział — nazwał jakiegoś zdra-
dzonego przez kobietę neurastenika numerem —
powiedział, że to trzeci miliard pięćsetmilionowy.

PRZESŁAWSKI. I jeden!

RUSZCZYC. A tak, to jedno można zawsze dodać —
ha, ha, ha...

IRENA (*niespokojnie zagaduje*). Dla czego Łącki opu-
szcza zakład?

REMBOWSKI. Bo ma lepsze miejsce. Żona nie bardzo
zdrowa — no i dla dzieci to dobrodziejstwo — sana-
toryum...

IRENA. Więc sanatorium obejmuje? Gdzie?

REMBOWSKI. W Niemczech. Ale — coście tak długo siedzieli w parku... Wiesz, jak ci szkodzi to wieczorne chłodne powietrze.

PRZESŁAWSKI. Pani Irena świetnie się ubawiła, zapomniała o chłodzie... tłumaczyłem jej istotę dekadentyzmu...

IRENA (*z wymuszoną wesołością*). Bo mnie się zdawało, że tylko w literaturze są dekadenci...

PRZESŁAWSKI. Otóż nie! Największych dekadentów można znaleźć tylko w najporządniejszych sferach obywatelskich — ty wiesz Gustaw, takich, co podatki płacą...

RUSZCZYC. Tak, wiem, pańska specjalność niepłacenie podatków — może dlatego, że pan jest poborcą?

PRZESŁAWSKI (*cynicznie*). A tak, w naturaliach, jeżeli się panu podoba.

RUSZCZYC. Ha, ha, ha — aleś pan dowcipny — w naturaliach... ha, ha, ha...

PRZESŁAWSKI (*szydlerczo*). A jak tam szpital?

RUSZCZYC. Dobrze, dobrze — ale cóż pan opowie o tym obywatelu, co płaci podatki?

PRZESŁAWSKI. Zaraz kochany panie! Otóż przychodzę do takiego obywatela. Ma miesięcznik, tak zwanych dekadentów w ręku. Ręce mu się trzęsą — wiesz Gustaw, tremor alcoholicus... Patrz pan, czytaj pan:

»jego ręce wgrzyły się w nią«... Hi, hi, hi... Patrz pan — pięć palców, rozstawia palce — chodź pan — no! niech gryzą, niech gryżą! a tu drogi panie: patrz pan, temu ręce znów łkają! hi, hi, hi... łkające ręce... odrzucił miesięcznik ze wstrętem, ale ponieważ utracił poczucie kierunku, bo rdzeń pacierzowy był w nieporządku, poleciał miesięcznik w inną stronę.

RUSZCZYC. Ha, ha! czasem się traci poczucie kierunku.

Znałem takiego pana, co zawsze fałszywą drogą chodził...

PRZESŁAWSKI. Bywają i tacy... (*do Ruszczyca swobodnie*). Cóż pan taki zgryźliwy? Ale to tak zwykle bywa, że dowcipni ludzie bywają na siebie zazdrośni, bo pan bardzo dowcipny.

REMBOWSKI (*nagle*). Coś ty taka blada, Inka?... Tyle razy cię prosiłem, żebyś wieczorem nie chodziła po ogrodzie... (*podejrzliwie*). I takaś dziwnie podniecona? (*nagle*). Wiesz co? Pojedziemy za tydzień do Włoch... Nie cieszysz się?

IRENA. Do Włoch? Och ty tak często plany zmieniasz...

REMBOWSKI. Nie, teraz już napewno — koniecznie muszę wypocząć.

Lokaj wchodzi.

LOKAJ. Inspektor szpitalu telefonuje, żeby wielmożny pan natychmiast przyszedł, bo bardzo ważna rzecz.

REMBOWSKI. Powiedz, że natychmiast przyjdę.

Lokaj wychodzi.

REMBOWSKI. Cóż się tam tak gwałtownego stało?
(patrzy nagle przeciągle na Irenę). A może ty nie chcesz
jechać do Włoch? Może Zygmunt z nami pojedzie?
No, ale pogadamy o tem, jak wrócę. Do widzenia!
(wychodzi).

RUSZCZYC. Toście się państwo do-
SCENA PIĄTA. brze w parku bawili? No tak, my
Długie milczenie. tu z Gustawem mieliśmy również

niezmiernie ciekawą i zabawną roz-
mowę. A mianowicie Gustaw twierdzi, że miłość, to
wielkie, straszne nieszczęście... tak, tak — ja już
stary człowiek, uśmiecham się pobłaźliwie do starych
wspomnień — a z dawnych czasów pozostał mi tylko
jeden aforyzm, że miłość, to stryzynek, na którym sza-
tan ludzi do piekła wciąga — teraz mówię ludzi, ale
Gustawowi powiedziałem: mężczyznę — ha, ha — bo
kobieta to sobie zawsze daje radę...

IRENA *(śmieje się długo kurczowym śmiechem)*. Ha, ha,
ha, ha...

RUSZCZYC *(przestraszony)*. Cóż pani jest?

PRZESŁAWSKI. Inka, Inka, Inka...

IRENA. Ha, ha, ha... kobieta daje sobie radę... ha, ha,
ha — jaki pan śmieszny *(zrywa się nagle)*. No i cóż
tak patrzycie przestraszeni? kobieta zawsze daje sobie
radę... Ach, panie Ruszczyc, nie myślałem, że pan taki
śmieszny... *(uspokaja się, patrzy błędnie przed siebie)*.

(Długie milczenie. Przesławski chodzi wzburzonym krokiem po pokoju, staje wreszcie stanowczy i ponury naprzeciw Ruszczyca).

PRZESŁAWSKI. Panie Ruszczyce! Teraz gramy otwartymi kartami. Pan już wszystkie swoje atuty wygrał — więc niema się pan już z czem ukrywać... Cała ta komedia podstępnych aluzji teraz już niepotrzebna. Jestem zupełnie zdecydowany...

RUSZCZYC. Na co pan jest zdecydowany?

PRZESŁAWSKI. By Irenę zabrać ze sobą.

IRENA. Zygmunt, na Boga, Zygmunt!

PRZESŁAWSKI. Inka słaba, waha się, nie — nie waha się — tylko strach, lęk. przerażenie...

RUSZCZYC. Więc stało się?

IRENA *(wybuchła płaczem)*. Boże, Boże, cóż teraz?

RUSZCZYC. Stało się? stało się? Rzeczywiście stało się

PRZESŁAWSKI. Tak! stało się.

RUSZCZYC *(opada)*. Stało się... *(wgrzązł w fotel)*.

PRZESŁAWSKI *(do Ireny)*. Cóż? cofasz się? może chciałabyś się wygodniej urządzić? co? By mąż nie wiedział — czego ci żal, czego? Czy nie kochałaś mnie? nie kochasz mnie? Ha, ha, ha! — może się chcesz uniewinnić sama przed sobą? Cała wina na mnie spada. Ty nie masz winy! Ja cię uwiodłem, zmusiłem, duszę twoją zgwałciłem — ja sam tylko, ja sam jestem winien, cały świat udzieli ci kompletnej absolucyi...

IRENA. Nienawidzę cię teraz! Straszny jesteś, pastwisz się nademną! Boże, co się stało, co się stało...

RUSZCZYC (*srywa się nagle groźny; do Przesławskiego*).

I cóż teraz?

PRZESŁAWSKI. Sam nie wiem, co mam robić -- nie pojmuję, z jakiej racyi pan ma prawo mnie się pytać...

RUSZCZYC (*straszny*). Bo, bo...

PRZESŁAWSKI. Co bo?

RUSZCZYC. Bo jestem sumieniem — złem sumieniem tego domu, bo jestem jego zniszczeniem — (*coraz straszniejszy*) bom ojca jego kochał — bo ojciec jego (*urywa nagle*) bo matka jego (*znowu urywa*) bom Gustawa wypieścił, bom go strzegł jak źrenicy w oku — och Boże, litościwy Boże...

Irena i Przesławski patrzą przerażeni na niego.

RUSZCZYC (*wpół obłąkany*). Mści się, mści się! i na mnie i na synu się pomściło... ha, ha, ha! na nic wszelka ekspiacya — na nic szpital, na nic instytucje filantropijne — tem się nie odkupi tego grzechu... Pani Ireno, to straszny grzech... A pan, pan, ha, ha!... wy indywidualiści, dla was to zabawką, zniszczyć życie człowiekowi, zabić go, zabić... Zabiliście głupiem i teoryami sumienie, by zaspokoić wasze zbrodnicze żądze, poczęliście głosić, że miłość nie zna żadnych praw, ani obowiązków, że miłość wszystko uniewinnia... To kłamstwo. Taka miłość jest zbrodnią

i mści się i na was się pomści. Jak szatan wszedłeś pan w ten dom i uwiodłeś duszę...

PRZESŁAWSKI. Dostyc tego! Śmieszny pan jesteś z tą rolą sumienia i przeznaczenia... trzeba było iść wczoraj do Gustawa, powiedzieć mu wszystko... (*szyderczo*). Możeby jeszcze był czas...

RUSZCZYC. Zapóźno, zapóźno — zdawało mi się — co mi się zdawało? — Że pan się nie odważy — że pan nie zbeszcześci domu przyjaciela — że pan...

PRZESŁAWSKI. Mój drogi panie — dajże pan już raz spokój temu wszystkiemu. To się już nie odstanie, a zresztą sam odpowiadam za to, co zrobiłem...

Patrzą chwilę nienawistnie na siebie.

RUSZCZYC (*groźnie*). I cóż teraz?

PRZESŁAWSKI. Sam powiem wszystko Gustawowi...

Irena mnie kocha. Do niego co najwięcej przywiązana, ale go nie kocha... Mnie kochała od dziecka — ja przyszedłem po to, by zabrać, co mi się należy — nic więcej...

IRENA. Och Boże, Boże, Boże... zabijcie mnie, ale nie mówcie mu nic — to go zabije, zabije...

PRZESŁAWSKI. A ze mną, co się stanie?

IRENA. Tyś taki silny, taki mocny, kocham cię, ale zostanę przy nim...

PRZESŁAWSKI. Zapadła klamka...

RUSZCZYC. Zapadła... (*zrozpaczony*). Zabiją mi go, za-

biją! On za słaby, za zbolały, by to przeżyć... (*opada i srywa się znowu*) straszne, że taki człowiek jak pan mści jego grzechy... i ten dom skalało cudzołóstwo — a myślałem, że to święty dom — że rozpacz, krwawa rozpacz i cierpienie już go uświęciło (*wychodzi*).

SCENA SZÓSTA.

IRENA (*chodzi szybko po pokoju, załamuje ręce*). Straszne, straszne, straszne...
Całkiem się już ściemniło — zmrok taki, że postaci na scenie prawie nie widać, tylko czarne, przesuające się sylwetki.

PRZESŁAWSKI. Tak, to wszystko straszne — ale Inka, spojrzij na mnie, ja taki mocny, taki silny, ja będę cię umiał bronić — patrz, weź moje ręce, jakie one ciepłe, jak one cię kochają — w tych rękach będzie sercu twemu tak dobrze — Inka, Inka!...

IRENA. Zygmunt, tyś był zawsze dobry dla mnie... Zygmunt, obronisz mnie? Przytulisz mnie tak mocno, że o wszystkim zapomnę?

PRZESŁAWSKI. Pieścić będę, całować, na rękach nosić...

IRENA. I o wszystkim każesz mi zapomnieć?

PRZESŁAWSKI. O wszystkim.

IRENA. O nim?

PRZESŁAWSKI. I o nim!

IRENA. Ach o nim! — o nim! On mnie tak kocha — słyszałeś? — mówił, że mnie do Włoch powiezie — mówił, że mam blada, mówił, że nie mam chodzić po

parku w wieczornych godzinach — o Boże, Boże: wiesz — och! Ty nie wiesz, jaki on był dobry. Byłam czasami taka nieznośna, mówiłam rzeczy, o których wiedziałam, że go urażą i boleć będą, a on wszystko przebaczał — on taki nieskończenie dobry, ale ja nigdy ciebie zapomnieć nie mogłam. Stawałeś ustawicznie między mną a nim... Wiesz, kiedy tak o zmroku — och, tak jak dziś... kiedy tak czekałam na niego — nagle czułam, że ty wchodzisz do pokoju — że głaszczesz moje włosy, że przytulasz twoje usta do mych kolan i mówisz: kocham cię, kocham!...

PRZESŁAWSKI. Tak, jak wtedy — pamiętasz?

IRENA. Czy ja pamiętam? Każde twoje słowo, każde twoje dotknięcie — och — Zygmunt, pocałuj moje włosy...

PRZESŁAWSKI. Te jasne złote włosy...

Pauza.

IRENA. A on, on, cóż on?

PRZESŁAWSKI (*nie zważając umyślnie na to, co ona mówi*).

Pamiętasz białe pawie — pamiętasz purpurowe ametysty, pamiętasz miasto przyczepione do nagich skał — i miasto śmierci — i te dzikie i potworne dżungle indyjskie — i...

IRENA. Pamiętam, pamiętam... mów, mów, upój, odurz mnie twą mową, Zygmunt, upój mnie twemi słowami, bo siła mi brakuje, takam słaba...

PRZESŁAWSKI. Pamiętasz wczorajszą rozkosz, wczorajszą pieśczęotę? Kochał cię tak kto? pieścił cię tak kto?...

IRENA. Nikt, nikt — on był taki smutny — patrzył mi tylko w oczy i pytał: Inka? Inka! ty mnie nie kochasz! Ty myślisz o innym! czemuś smutna? czemuś zamyślona? — ach jak on mnie męczył!...

PRZESŁAWSKI. I więcej, rozkoszniej cię jeszcze pieścić będę... Pomnisz, Inka — ja ci tylko piękność dawałem — nie pytałem się o nic — nie śledziłem cię, nie nicowałem twoich słów, nie wwiercałem się w twoją duszę, bom zawsze wiedział, że mnie kochasz...

IRENA. Widzisz tem mnie zamęczał... Gdy byłem zmęczona, mówił, że go nie kocham, bo on nie był zmęczony — gdy byłem wesoła, patrzył na mnie z wyrzutem, bo sam był smutny — ale on taki był dla mnie dobry... (*zrywa się nagle*) Zygmunt! lękam się, boję się, my go zabijemy...

PRZESŁAWSKI. Słuchaj, Inka — słuchaj mnie poważnie — słuchasz?

IRENA. Mów, mów, mów — uspokój mnie, jam taka biedna i słaba — och sił mi nie starczy — (*z lękiem*) Wiesz? lada chwilę nadejdzie i dowie się o wszystkim. Jego oczy! jego głos! jego przerażenie! To gorzej, jakby piorun w człowieka trzasł...

PRZESŁAWSKI. W niego nie trzaśnie...

IRENA. Właśnie w niego, w niego...

PRZESŁAWSKI. Inka, pomyślałaś choć na chwilę, że możesz być jego wybawieniem?

IRENA. Ja?! Zgubą! Zgubą!

PRZESŁAWSKI. Nie! Wybawieniem! On męczy się z tobą, on czuje, że go nie kochasz, że jesteś tylko — tylko przywiązaną do niego... Odejdiesz od niego, a wróci do równowagi i powie sobie: dobrze się stało... albo powie; tak się prędzej, czy później stać musiało, albo...

IRENA. Zygmunt, broń mnie! Wiesz, jestem bez woli. Jestem jak piłka, którą ty i on podrzucacie — bo on mnie kocha i tak widzę jego oczy i tak słyszę jego przerażony głos: Inka! Inka! Czy to prawda?!

PRZESŁAWSKI. Dziś mu wszystko powiem!

IRENA. Nie dziś, nie dziś, na Boga! nie dziś!

PRZESŁAWSKI. Dziś!

IRENA. Zabij mnie, tylko nie dziś! Niech ochłoneę, patrz, trzęsę się cała — ta straszna myśl, że go dziś zabijemy!

PRZESŁAWSKI. Tem się ludzi nie zabija. A jeżeli toby go zabiło, to w takim razie każde inne tragiczne przejście może człowieka zabić. Dlaczego miałoby go to zabić? Że go nie kochasz? Ale mężczyzna, prawdziwy mężczyzna, przestaje kochać kobietę, o której wie, że go zdradziła.

IRENA. Zdradziła?! Boże, co ty mówisz? zdradziła?

PRZESŁAWSKI. No? Jak to nazwiesz?

Chwila milczenia.

IRENA. Tak, tak, zdradziłam go...

PRZESŁAWSKI. To się nie odstanie...

IRENA. To się nie odstanie.

Znowu pauza.

IRENA. Jak się to stało?

PRZESŁAWSKI. Słuchaj — jesteś słaba, lękasz się tej jednej chwili — wszystko rozumiem — rozumiem cały proces, który się teraz w duszy twej odgrywa — wybaczam ci wszystko.

IRENA. Co mi wybaczasz?

PRZESŁAWSKI. Że mi to wszystko mówisz. Gdybym nie wiedział, że mnie kochasz...

IRENA. To, to?

PRZESŁAWSKI. Odszedłbym w tej chwili!

IRENA. Odszedłbyś, odszedłbyś? Ty? ty? Pozostawiłbyś mnie tu samą? tu, tu — na pastwę?...

PRZESŁAWSKI. Na czyją pastwę?

IRENA. Na jego pastwę! On czuje wszystko, on już wie wszystko. On zacięty — nic nie mówi, jednym słowem się nie zdradzi, ale ja wiem, że on wszystko przeczuwa — och, Zygmunt, Zygmunt! zostawiłbyś mnie tu samą?... Onby mnie zabijał dzień po dniu

swojemi oczami, każdym ruchem ręki, każdym dobrem słowem... O, boby był dobry, tak dobry...

PRZESŁAWSKI. No więc? Więc co, rajy mój?

IRENA. Ach powiedz mi, powiedz mi raz jeszcze, że to będzie dla mnie wyzwoleniem, jeżeli go opuszczę...

PRZESŁAWSKI. Sądę.

IRENA. Powiedz mi, że tak, powiedz mi z pewnością...

PRZESŁAWSKI. Nic, nic nie jest pewne.

IRENA. Och jakiś ty okrutny, jak ty się nademną patwisz... (*zrywa się nagle*). Pamiętasz, co Ruszczyć wczoraj mówił? Ten straszny obraz zdradzonego męża!

PRZESŁAWSKI. Już go zdradziłaś!

IRENA. Zdradziłam, zdradziłam — co to jest? Co to znaczy? Wiesz, ja będę szczerą — strasznie szczerą. Ja sobie wystawić tego nie mogę, że go już zdradziłam... Och, ty go nie znasz... Tak będzie chodził wokół pokoju, chodził, chodził... I zatnie się i słowa nie powie — całymi dniami słowa nie przemówi... Zygmunt, ja go znam — choćby mnie nie kochał, ale w chwili, gdy mnie straci, to uczuje taką krzywdę...

PRZESŁAWSKI. No i cóż?

IRENA. Prawda! No i cóż?! Tak, to prawda — więc tylko zdradzony samiec?

PRZESŁAWSKI. Obrażony.

IRENA. Ha, ha, ha!... W swojej samczej dumie obrażony. Powiedz, że tak...

PRZESŁAWSKI, Tak!

IRENA. Och nie, nie! On mnie kocha, ja wiem, że mnie kocha — wiesz on czasem tak dobry — byłam chora, na krok nie odstąpił mego łóżka — byłam smutna i on był smutny.

PRZESŁAWSKI. Ha, ha! — a gdyś była wesółą?

IRENA. Prawda... Ale pamiętasz — pamiętasz, co Ruszczyć mówił?

PRZESŁAWSKI. Ruszczyć? Kto jest Ruszczyć? — zapomniałem, kto jest Ruszczyć...

IRENA. Ale ja wiem, wiem! sumienie, obowiązek, wszystko! Trzymaj mnie, gwałć mnie, bij mnie, gdy on powie z tym strasznym wyrzutem: Inka! Inka! Trzymaj mnie z całej siły, bo rzucę mu się na szyję i będę kłamać, że jego, jego tylko kocham... ja nie zniosę jego wzroku...

PRZESŁAWSKI. Więc żegnaj cię! — żyj dalej przy nim. Okłamuj go; mów mu, że jestem ci wstrętny! tem go ułagodzisz...

IRENA (*patrzy długą chwilę, nagle srywa się*). Zygmun! Zygmun! Patrz! już jestem silna — już, już niczego się nie lękam. Spojrzę w jego straszne oczy...

PRZESŁAWSKI. Inka, ja tak dobrze cię rozumiem — tak dobrze — ale Inka pomyśl — całe życie szukaliśmy tego złotego runa.

IRENA. Złotego runa...

PRZESŁAWSKI. Teraz je znaleźliśmy. Nie damy sobie go wydrzeć.

IRENA. Nie damy... Złote runo — miłość — złote runo — stryczek szatana — wszak tak powiedział Ruszczyc...

PRZESŁAWSKI. Ina!

IRENA. Och, nie zważaj na mnie. Jestem na wpół nieprzytomna. Bo to takie straszne, takie bolesne.

PRZESŁAWSKI. Co?

IRENA. To co teraz, co za chwilę przyjdzie — co za chwilę się stanie... ale — patrz, Zygmunt, już jestem silna — złote runo, złote runo!...

PRZESŁAWSKI. Dość długo go szukaliśmy...

IRENA. Ha, ha, ha!... To złote runo takie ciężkie, upadam pod jego ciężarem — a ja mu taką straszną krzywdę wyrządziłam. Krzywdę — krzywdę...

PRZESŁAWSKI. Możesz ją jeszcze naprawić.

IRENA. Czem?

PRZESŁAWSKI. Kłamstwem!

Milczenie.

IRENA (*nagle*). Wybacz, Zygmunt, wybacz, przytul mnie do siebie — och tak, tak... mocniej jeszcze! Dodaj mi sił. Tyś dobry, tyś kochany — ty wiesz, jak trudno w jego straszne oczy spojrzeć...

PRZESŁAWSKI. Inka, Inka! — złote runo, a potem...

IRENA. Powieź mnie tylko daleko... (*nagle*) a zapomnę?

PRZESŁAWSKI. Zapomnisz!

IRENA. A Ruszczyc?

PRZESŁAWSKI. Zmora! Strząśniesz ją z siebie.

IRENA. Zapomnę! Tak zapomnę! Kocham cię...

PRZESŁAWSKI (*pieści ją*). Ty, ty, ty...

IRENA. Gdyby tylko nie przyszedł... jeszcze chwilę —
tak mi dobrze z tobą...

PRZESŁAWSKI. Cudu, jasna pani, ja silny, ja mocny,
ja cię kocham...

IRENA. Złote runo, złote runo... Och jak trudno je
zdobyć.

PRZESŁAWSKI. Zbrodnią! Tylko zbrodnią zdobyć je
można.

IRENA. Boże, Boże, jakiś ty straszny! Podtrzymaj mnie,
dodaj mi sił — och, jak się lękam — zbrodnią zdo-
być złote runo — nie mogę, nie mogę, nie mam sił...

PRZESŁAWSKI. Ja mam je za ciebie... Tyś nic nie
winna, tyś słaba. Masz słuszność: tyś piłką, którą on
i ja podrzucamy. Ale wiem, że mnie kochasz — to
potraja moje siły. Ja sam jeden winny. A ja poniosę,
umiem ponieść ten ciężar, tak! ciężar — bo i ja Gu-
stawa kocham!

IRENA. Och jakiś ty piękny!

PRZESŁAWSKI. Nie — tylko silny!

IRENA. I straszny!

PRZESŁAWSKI. Nie! tylko odpowiadam za to, co ro-
bię — wobec mego sumienia odpowiadam.

IRENA. O! Czujesz? Teraz też jestem silna... Przytul... Nie, nie... czuję, że idzie (*odbiega od Przesławskiego — siada w przeciwnym rogu*). Idzie — idzie...

REMBOWSKI. Cóż to? Ciemno?

SCENA SIÓDMA.

PRZESŁAWSKI. A ciemno. — (*Wchodzi Rembowski*). Zmrok był tak cudowny, żeśmy zapomnieli prosić o światło...

REMBOWSKI. Gdybym was nie znał... (*naciska guzik elektrycznego światła*).

IRENA (*przerywa, nerwowo*). Zygmunt tak cudownie opowiadał o białych pawiach — wiesz Gustaw — są białe pawie — i jest takie miasto, przyczepione do nagich skał — i... i...

REMBOWSKI. Cóż ci jest? (*patrzy na Przesławskiego*).
Co? co?

PRZESŁAWSKI. Nie mówiłem o białych pawiach. Mówiłem twej żonie, że ją kocham. Tak! Kocham!

REMBOWSKI. Co? co? co?

PRZESŁAWSKI. Mówiłem twej żonie, że ją kocham.

REMBOWSKI (*wybucha śmiechem*). Ha, ha, ha — ale ty rzeczywiście jesteś wesoły — chwilę się przeraziłem...

PRZESŁAWSKI. Przed paru minutami mówiła Inka, że ty wszystko widzisz i czujesz... Czyś ty nic nie czuł, nic nie widział?

REMBOWSKI. Co? Żart? — strasznie głupi żart.

PRZESŁAWSKI. Nie, to nie żart — mówię ci zupełnie

na seryo — mówiłem twej żonie, że ją kocham.

REMBOWSKI (*jak błędny*). Inka? Mówił ci to?

IRENA (*milczy*).

REMBOWSKI. Mówił, mówił?

IRENA. Mówił.

REMBOWSKI. A ty?

IRENA (*milczy*).

PRZESŁAWSKI (*twardo*). Czas, byś powiedziała.

IRENA. Kocham go!

REMBOWSKI. Kochasz — kochasz? Czyście poszaleli?

PRZESŁAWSKI. Nie, to nie szaleństwo — my się już dawno kochamy...

REMBOWSKI. Inka! Ty?

IRENA (*milczy*).

PRZESŁAWSKI (*rozkazująco*). Inka! Powiedz!

IRENA. Kocham go — kocham... (*zrywa się*). Tyś mnie męczył — tyś dławił moją młodość — tyś mi nie wierzył — dniami słowa do mnie nie przemówiłeś... A ja tęskniłam za słońcem, za tańcem, muzyką... Byłeś dobry, ale dobroć twa zabijała, niszczyła, dławiła! och ta twoja straszna, piekielna dobroć... Nie patrz na mnie tak dziko... twojemi oczyma mnie zabijałeś — a ja byłam tak spragnioną miłości — takiej tkliwej miłości... Ja chciałam, pragnęłam, by

mnie ktoś wziął na ręce i pieścił i tulił — a ty — ty — zaciąłeś się, słowa nie mówiłeś! o Boże, Boże... REMBOWSKI (*patrzy, jakby nic nie rozumiał*). Inka, co ty mówisz?

IRENA. Nie męcz mnie, nie męcz mnie! jego kocham, kocham — puść mnie teraz, to ciebie i mnie wyzwoli.

REMBOWSKI (*opadł na krzesło. Długie milczenie. Złamany*). Tak, więc ma dusza, ta podziemna, ukryta dusza słusznie przewidywała, że mnie nie kochasz. A przecież mówiłaś, że mnie kochasz, tyle razy mi to mówiłaś, czemuś wyszła za mnie, jeżeli mnie nie kochałaś?

IRENA. Przebac, przebac, Gustaw — ja myślałam, łudziłam się, że cię kocham — chciałam cię kochać, boś piękny i dobry — mówiono mi, że on zginął bez śladu... obraz jego zatarł się — a teraz nagle, jak go zobaczyłam, wszystko wybuchło, teraz dopiero rozumiem, że nigdy go nie przestałam kochać... Och Gustaw, Gustaw — ja wiem, że to zbrodnia, ale tyś tak ciężko zawinił — czemuś ty mnie tak zabijał twojem milczeniem, twoją zaciętością? — ja byłabym cię kochała; aleś ty moją miłość zabił. Tyś mnie nienawidził w słońcu... w radości... w tej pustej wesołości...

REMBOWSKI. Bom się męczył — bo wszystko się we mnie łamało. Pasowałem się z sobą, gryzłem się, że du-

sza mi się krwią zalewała — a tyś coraz głębsze korzenie we mnie zapuszczała — chciałem się zrównoważyć — chciałem cię powoli wyrwać ze siebie, ale każdy wyrwany korzonek krwią ociekał — to ból, ból, ból... *(do Przesławskiego)*. Och wy literaci, wy nie wiecie, jaki to ból — pan, panie Przesławski, dla pana — to temat literacki, pan go zapewne opracujesz — ha! ha! a dla mnie to zniszczenie, rozumiesz pan? Paneś mnie zniszczył, zmarnował. Ty, literacie — dla ciebie to temat literacki, dla mnie zmarnowane życie *(podchodzi ku niemu wściekły — Przesławski stoi milczący i ponury)*. Pan mi życie zniszczył!

PRZESŁAWSKI. O ile ja je panu zniszczyłem? Sam teraz pan mówi, że pan się z Inką tylko męczył; słyszę to, co już dawno wiedziałem, że pożycie wasze było tylko wspólną męczarnią, więc cóż?

REMBOWSKI. Czy pan wie, co to miłość — wie pan?

Pan nigdy nie kochał, pan i jej nie kocha!

PRZESŁAWSKI. Kocham, inaczejbym tego nie zrobił, co robię.

REMBOWSKI. Nie, nie kocha pan! to próżność, to wasza literacka próżność — tak, to zbrodnia, panie literacie — wy nie uznajecie zbrodni — wam literatura sumienie wyżarła — ale ja nie jestem literatem, jestem człowiekiem!... Gdy była wolną, toś pan przepadł gdzieś, nie troszczył się pan o nią, a teraz wcho-

dzi pan w dom swego przyjaciela, i... Nie znałem pana, przyjąłem cię otwartemi rękoma — wiedziałem zaledwie, żeś pan jakiś daleki kuzyn Ireny... (*ostro do Ireny*). Czemuś mi nie powiedziała, że ten pan był twoim kochankiem?

PRZESŁAWSKI. Nigdy nim nie byłem.

REMBOWSKI. Milcz pan — pan nie ma prawa jednego słowa powiedzieć. Przyjechał pan tu przed półtora miesiącem — zawierzałem wam tak, że spokojnie wyjechałem, zostawiając was tu samych... Ha, ha — o wszystkich byłem zazdrosny, ale nigdy nie myślałem, żeby pan — pan... pan jest ostatni łotr... (*chce się rzucić na Przesławskiego*).

IRENA (*rzuca się między nich*). Gustaw, na Boga, on nic nie winien, ja pierwsza go ku sobie nęciłam... kusiłam go...

PRZESŁAWSKI. Nieprawda. Od pierwszej chwili wiedziałem, co robię... Ja sam wszystkiemu winien.

IRENA. Nie, nie! to ja — to ja! ja go uwiodłam — mówiłam mu, że to będzie dla ciebie wyzwolenie, gdy cię opuszczę — ja pierwsza pochyliłam głowę na jego piersi — och, och — to złote runo, którego nie znałam... (*placze*).

REMBOWSKI. Uspokój się, Inka — tyś chora — jam dużo zawinił — uspokój się.

Milczenie, przerywane płaczem Ireny.

REMBOWSKI (*do Przesławskiego groźnie*). No i co teraz pan zamyśla zrobić?

PRZESŁAWSKI. Wziąć Inkę ze sobą.

REMBOWSKI. Co? co? Inka! pójdiesz z nim?

IRENA. Och puść mnie, puść! pozwól mi iść; jam ciebie nie warta, niegodna — pozwól mi iść, Gustaw, pozwól mi iść, pozwól, pozwól! (*rzuca mu się do nóg*) stratuj mnie, odrzuć, przeklnij, ale pozwól mi iść — będę cię błogosławiła — ukorzę się przed tobą, u nóg twych proch włosami zmiotę, tylko pozwól mi iść...

REMBOWSKI. Inka! Inka! Ty, ty mnie chcesz opuścić?

Inka, za moją krwawą miłość tak mi się odpłacasz?

IRENA. Ach, zabij, zabij, ja nędzna, marna, niegodna ciebie...

PRZESŁAWSKI. Nie pojmuje dlaczego pan ją męczy?

Czy pan na tyle brutalny, by żyć razem z kobietą, która pana nie kocha?

REMBOWSKI (*podchodzi ku niemu*). Panie, tę sprawę powinienem w inny sposób załatwić. Powinienem panu w łeb strzelić jak psu. Nie robię tego ze względu na Inkę. A teraz pan idź, bo krew mi mózg zalewa. Idź pan, proszę pana, idź pan, bo stanie się nieszczęście!...

PRZESŁAWSKI. Czekam na to nieszczęście! Widzę, że Irena niema sił. Zrobi mi pan wielką przyjemność, jeżeli mi pan w łeb strzeli; nie! w piersi (*odkrywa*

piers) bij pan! Wal! Popęlniłem zbrodnię, wiem o tem —
zdradziłem przyjaciela, wiem o tem — ale i pan po-
pełnia zbrodnię, zatrzymując, wiążąc kobietę przy so-
bie, która mnie kocha.

REMBOWSKI (*w najwyższej wściekłości*). Precz! precz!

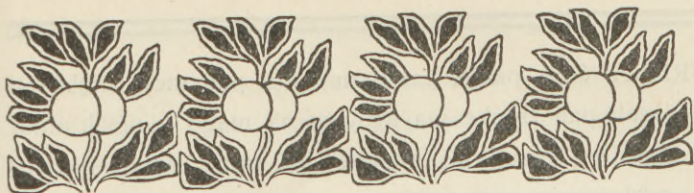
PRZESŁAWSKI. Idę! (*Obracając się do Ireny*) Inka! cze-
kam na ciebie!

IRENA (*rsuca się za nim*).

REMBOWSKI (*z przerażającym krzykiem*). Inka!

IRENA (*przerażona przystaje chwilę, ogląda się błędnie —
pada na ziemię*).

K U R T Y N A.



AKT TRZECI.

SCENA PIERWSZA.

IRENA.

Wczesne rano. Irena siedzi w salonie — nieruchoma. Światło nie zgaszone. Długa chwila. Irena wstaje, siada, podchodzi ku oknu, znowu siada i zrywa się.

LOKAJ (*wchodzi*). Wielmożna pani, pan Ruszczyć chce koniecznie z panią się widzieć.

IRENA. Ruszczyć?... A tak! prosić! (*chodzi niespokojna dokoła salonu*).

SCENA DRUGA.

RUSZCZYĆ *wchodzi*. IRENA. Pocóż pan tu przyszedł?

Męczyć mnie? Zadławić? Zabić?

RUSZCZYĆ. Przyszedłem — może będzie można coś naprawić.

IRENA. Ja pana się lękam — ja was wszystkich się lękam — a pana najwięcej — pan jak zły duch chodził po naszym domu — pan niósł ze sobą przeczucie nieszczęścia — o Boże, Boże!

RUSZCZYĆ. Niech się pani uspokoi. Pani bardzo biedna. Jeżeli będę mógł coś pomódz, to pomogę — ja mam wielki wpływ na Gustawa.

IRENA. Och, panie, panie, zakończ pan moją mękę — jeżeli pan trochę ma wpływu na niego — niech mnie puści — niech mi pozwoli iść, mnie samej — tam, gdzie mnie oczy poniosą...

RUSZCZYC. Gdzie Gustaw?

IRENA. Jest w swojej pracowni... Całą noc chodzi — chodzi — chodzi — słyszy pan jego kroki? słyszy pan?

RUSZCZYC. Nie.

IRENA. A ja słyszę — piekielny łoskot jego kroków w mojem sercu — dzwony sądu ostatecznego w mojej głowie — o, chodzi, chodzi — i tak chodzić będzie — bo ja pójdę, tak! pójdę... (*szrywa się*) słyszy pan jego kroki — o! tam — i napowrót... tam i napowrót... nie męcz mnie pan już — już mnie pan nie namawiaj, bym została, bo ja pójdę — bom nie warta, by choć godzinę jeszcze przemieszkać pod jego dachem...

RUSZCZYC. Niech się pani na chwilę uspokoi. Pani bardzo rozdrażniona. Pani mnie uważa za złego ducha tego domu? Co?

IRENA. Nie, nie, nie — jeżeli kto mi pomoże, to pan.

RUSZCZYC. Ale ja chciałem powiedzieć, że do pani jestem przywiązany — nie! ja tylko Gustawa kocham — a więc — ale czy pani zdolna spokojnie słuchać?

IRENA. No?

RUSZCZYC. Zdolna pani zrozumieć to, co pani powiem.

IRENA (*opanowuje się*). Mów pan, mów — mów...

RUSZCZYC. Więc droga pani, jeżeli pani od niego odejdzie, to nie ręczę za to, co się stanie... Bo widzi pani, są ludzie, których korzenie rozgałęzione. Taki pan Przesławski n. p. ma swoją sztukę — ma tysiąc innych rzeczy, a Gustaw tylko panią...

IRENA. Ależ, czy pan nie rozumie, że ja iść muszę — muszę?

RUSZCZYC. Czemu pani iść musi?

IRENA. Bo, bo — och, nie pytaj się pan!

RUSZCZYC. Więc stało się?

IRENA. Tak, oddałam się Zygmuntowi, oddałam mu się bo go kocham, kocham...

RUSZCZYC. Cicho, cicho!... jeżeli kłamać nie można, to trzeba milczeć... (*chodzi niespokojny*) nie trzeba Gustawowi tego mówić, bo toby go zabić mogło...

IRENA. Teraz nie mogę pod jego dachem mieszkać...

RUSZCZYC. Cicho, cicho. — Pani nie wie, to są straszne rzeczy — jego ojciec — nigdy nie zapomnę... on, mój najserdeczniejszy z przestreloną skronią...

IRENA Co?

RUSZCZYC. I te oczy rozwarte — słupem stały i taki okropny, przerażający ból i rozpacz... To się tak mści, tak się mści...

IRENA. Co, co, co się mści?...

RUSZCZYC (*groźnie*). Zdrada!

Milczenie.

IRENA. Więc cóż? mam przy nim pozostać? Oszukiwać go? nie! nie będę go oszukiwać! ale już, już się stało...

RUSZCZYC. Stało się, stało się — więc już za późno — za późno... Tegoście mu wczoraj nie powiedzieli?...

IRENA. Ach, jak ja Zygmunтови wdzięczna, że wczoraj tego nie powiedział — nie mieliśmy siły — toby było zbyt straszne — zbyt... i teraz Gustawowi tego powiedzieć nie mogę, bo się tak lękam, lękam... Słyszysz pan jego kroki — tam i napowrót, wokół pracowni? o Boże, Boże, Boże... Panie, czyż pan tego nie rozumie? przecież teraz tu już zostać nie mogę — przecież nie mogę być jego żoną — przecież ja — o, jak wy to nazywacie? prawda! jestem skalaną, ha, ha, ha — skalaną, zbrukaną, zbezczeszczoną przez tego człowieka, który mnie kocha i którego ja Kocham, ha, ha — zbezczeszczoną przez Zygmunta. Ach panie, pan nie wie, nic pan nie wie, nic pan nie wie — ja się Gustawa lękam; on straszny (*przypada mu do nóg*) panie, pomóż mi pan, — przecież nie mogę tu pozostać, ja należałam do innego — przecież nie skazujcie mnie na tę straszną męczarnię, bym z Gustawem pozostała nadal pod tym samym dachem...

RUSZCZYC (*bardzo niespokojny*). Kto nie umie kłamać,
ten niech milczy, milczy...

IRENA (*zrywa się*). Więc cóż, cóż mam robić?

RUSZCZYC. Zostać!

IRENA. Zostać!? zostać!? Ale ja Zygmunta kocham!

RUSZCZYC. Zapomni pani o nim.

IRENA. Nie zapomnę, nie zapomnę, małem dzieckiem
byłam — ot takim — takim małem dzieckiem, a
już go kochałam — zatarł mi się potem w pamięci —
ale teraz — ja już bez niego żyć nie mogę!

RUSZCZYC. A on?

IRENA. Kto?

RUSZCZYC. Gustaw!

IRENA. Gustaw, Gustaw!? — ach Boże, co on ze mną
zrobił...

RUSZCZYC. Co pani z nim zrobiła!

IRENA. Pójdę! pójdę! Niech się dzieje, co chce.

RUSZCZYC. A gdyby...

IRENA. Co?

RUSZCZYC. Gdyby to zrobił, co jego ojciec!

IRENA. Hu! hu!

RUSZCZYC. O — widzę go, widzę — rewolwer kur-
czowo zaciśnięty w dłoni — oczy rozwarte: całe pie-
kło w oczach — a usta, ściśnięte, z rozpaczy ściśnięte —
dwie zmarszczki w kątach ust — pani może jeszcze
nie widziała tych dziwnych zmarszczek w kątach ust —

a z skroni sączyła krew, krew cieniutkimi paseczkami — nie! nitkami: każda kropla krzepła na skroni...
Idź pani — ale gdy Gustaw to zrobi...

IRENA (*z hysterycznym śmiechem*). O złote runo, złote runo! O szatańskie, piekielne runo! (*nagle*). Więc uwięzić mnie chcecie — jak psa przywiązać do nogi swego pana?

RUSZCZYC (*cicho*). Pani niema wyobrażenia, jak to strasznie wyglądało... Bo, bo... (*prostuje się*). To jest właśnie to straszne — gdyby człowiek miał czas do opamiętania się! Ale niema czasu. Robi to w pierwszym afekcie... Gdyby mógł poczekać parę dni — ot! splunąłby i powiedział: trudno, nie kochała mnie — ale niema czasu się opamiętać — robi to w tej samej chwili... bo nie zdąży się opamiętać — nie zdąży ochłonąć... Jakby go kto siekierą w ciemię rąbnął. Od razu się powali. Na razie zdaje mu się, że hańby nie przeżyje.

IRENA. Hańby?!

RUSZCZYC. Uspokój się pani — mężczyźni to hańbą nazywają — a choćby nawet mężczyzna swej żony nie kochał, choćby ją codziennie z inną zdradzał, to jednak będzie to hańbą nazywać...

IRENA (*śmieje się hysterycznie*).

RUSZCZYC. I, i — proszę pani, Francuz zrobi głupią błagę — zrobi parę dziur w powietrzu — drobnostka!

albo zabije żonę — też drobnostka, bo go sąd przysięgłych uwolni, a taki Francuz wie o tem — albo też —
i! głupstwo! Konsekwencyę pociąga tylko Polak...

IRENA. Co? co?

RUSZCZYC. Sam sobie życie odbiera...

Pauza.

IRENA (*śmieje się nagle*). Może jestem przedrażniona, ale tak mi się śmiać chce — tak strasznie pragnę się śmiać...

RUSZCZYC. I ja, droga pani, nie spałem całej nocy i mnie się tak śmiać chce — och! Proszę pani, Polak — to bardzo dziwny człowiek. Jak okradnie kasę, to sobie życie odbiera — a jak Francuz skradnie parę milionów, to ministerstwo pewne — pewne...

IRENA i RUSZCZYC. Ha, ha, ha...

RUSZCZYC. Proszę pani — oni, ci Francuzi nazwali kłamstwo prawdą — z tego całą literaturę zrobili — a jak Polak skłamie, to sobie w łeb strzela...

IRENA i RUSZCZYC. Ha, ha, ha...

IRENA (*zrywa się nagle*). Słyszysz pan? Słyszysz pan? chodzi, chodzi — Boże, że pan tego nie słyszy...

Milczenie.

IRENA. Więc co mam zrobić?

RUSZCZYC. Milczeć.

IRENA. Milczeć?... teraz? — ale ja go zdradziłam...

RUSZCZYC. Milczeć! bo ja go za bardzo kocham — on nie będzie miał czasu do opamiętania się — a to

złote runo — wszak tak pani nazwała miłość? otóż
to złote runo...

IRENA. Złote runo...

RUSZCZYC. Stanie się błotem i ohydą — bo...

IRENA. Bo?

RUSZCZYC. Cicho, cicho, cicho... Niech pani pamięta —
ojciec jego — tak! ojciec jego też nie miał czasu do opa-
miętania się... bo proszę pani, ja to pojmuję — w pierw-
szej chwili — człowiek nie zdaje sobie sprawy, że mo-
żnaby wyżyć bez tej drugiej — no, jak to nazywają?
szlachetniejszej części... Ha, ha, ha... pomyśl pani,
że mężczyźni was nazywają nadobną płcią, szlache-
tniejszą częścią... ha, ha... tak was nazywają w mio-
dowych miesiącach...

IRENA (*nawpół nieprzytomna*). Panie! panie! pomóż mi
pan! Dopomóż mi pan! ja przy nim zostać nie mogę...

RUSZCZYC. O ile będę mógł — pomogę... A teraz
bądź pani mocną...

IRENA. Tak, tak — wy już innego słowa nie macie,
jak tylko bądź mocną, bądź mocną! — Zygmunt mi
to też mówił... bądź mocną, mocną...

Chwila milczenia.

IRENA. Więc co?

RUSZCZYC. Zostań pani...

IRENA. Nie mogę, nie mogę — to byłoby ohydne,
wstrętne — nie mogę...

RUSZCZYC. Odwróci pani wielkie nieszczęście... Bo to się tak strasznie mści — i na pani się pomści — nie na pani, to na pani dzieciach... Wina jego matki pomściła się na nim...

IRENA. Jakto? jego matki? Przecież to ojciec...

RUSZCZYC. To ja tak wmówiłem w niego — bo pamięć matki musi być dla dziecka święta... Nie pomści się na pani, to pomści się na dzieciach pani — w siódme pokolenie mścić się będzie — bo — bo (*groźny*) bo, tak Bóg powiedział: Nie cudzołóż!

IRENA (*opada*). O Boże, Boże! — (*zrywa się znowu*). Czemuż pan dopuścił do tego, czemu pan nie ostrzegł Gustawa, by mnie oderwał od Zygmunta, by mnie wywiózł choć na koniec świata, czemu...

RUSZCZYC. Bo jestem jak sumienie odważny i tchórzliwy — rzucam się naprzód i cofam się w tył — ląkam się zniszczenia — Boże najdroższy! czemuż ja Gustawa nie ostrzegłem? Na coby się to zdało? Jego serce za delikatne. Nie mógłby tego przenieść, że pani — pani — jego świętej Ince mogłoby grozić niebezpieczeństwo ze strony innego mężczyzny...

IRENA. Tak, tak — to prawda... Tobi była jeszcze gorsza męka...

RUSZCZYC (*po chwili*). Ach to przeklęty dom — jakieś fatum nad nim zaciężyło — niedobrze, niedobrze pod tym dachem mieszkać...

SCENA TRZECIA.

LOKAJ (*wchodzi*). Pan Łącki
w bardzo ważnym interesie.

IRENA. Proś! Powiedz mężowi, że pan Łącki przyszedł.

Lokaj wychodzi.

SCENA CZWARTA.

IRENA. Nie, nie mogę! Stokroć
razy lepsze najgorsze nieszczę-

ście, jak ta tortura, ta ohyda... Nie mogę, nie
mogę,...

Milczenie.

SCENA PIĄTA.

ŁĄCKI *wchodzi*.

ŁĄCKI. Przepraszam, że tak ry-
chło przychodzę, ale zostałem
telegraficznie wezwany, że mam

natychmiast objąć moje obowiązki; wyjeżdżam zaraz,
a muszę przedtem w bardzo ważnej sprawie pomówić
z mężem pani — ostatni raz.

IRENA. Więc pan już nie wróci?

ŁĄCKI. Nie.

IRENA. A żona pańska?

ŁĄCKI. Później przyjedzie. Teraz chora...

RUSZCZYC. O, szkoda mi pana, szkoda...

ŁĄCKI. Kto inny mnie zastąpi.

RUSZCZYC. Ale to nie pan.

Rozmowa się urywa.

ŁĄCKI. Czemużby mnie nie można zastąpić — przecież
zastępuje się ludzi w daleko ważniejszych sprawach.

IRENA. W czym?

ŁĄCKI. W sprawach męża — ha, ha...

Zakłopotane milczenie.

RUSZCZYC. Ja tak za godzinę przyjdę do pana — pan dziś po południu wyjeżdża?

ŁĄCKI. Bardzo będzie mi miło z jaką godzinę pogawędzić z panem... (*po chwili do Ireny*). Przepraszam bardzo panią, że w jej domu śmiem stawiać jakieś wymogi — ale ja muszę z mężem pani sam na sam pomówić — to takie tajemnice naszych pacjentów...

IRENA. Ależ naturalnie.

Rembowski wchodzi.

SCENA SZÓSTA. IRENA. Więc do widzenia panu...

REMBOWSKI i ŁĄCKI. Nie do widzenia, bo się już pewno nie zobaczymy — żegnając dłonie. *Łącki całuje ją w rękę.*

RUSZCZYC. No to i ja pewno nie potrzebny? — panią nie męczy moje towarzystwo?

Irena i Ruszczyk wychodzą.

SCENA SIÓDMA. ŁĄCKI. Więc kończy się nasza męka...

Rembowski i Łącki stoją chwilę naprzeciw siebie w milczeniu. Łącki ponury i groźny. REMBOWSKI. Dla mnie się rozpoczyna...

ŁĄCKI. Nie mogłem otwarcie z panem mówić, bo musiałbym być śmieszny, a ja musiałem

milczeć, musiałem, bo mam obowiązki wobec rodziny, obowiązki wobec dzieci, a wie pan, co powinienem był już dawno, dawno zrobić...

REMBOWSKI (*milczy*).

ŁĄCKI. Spoliczkować pana, a potem ubić — ubić na drodze — w jasny dzień!

REMBOWSKI (*strasznie ponury*). Tak! toś pan był powinien zrobić! Czemuś pan tego nie zrobił?

ŁĄCKI. Bo mam obowiązki, bo dziecko musi mieć matkę. A najgorsza matka jest jeszcze matką...

REMBOWSKI (*z maniacką uporczywością*). A trzeba, trzeba było mnie ubić. W jasny dzień ubić — tak! ubić — bez spoliczkowania... Tę karę już przedtem odpokutowałem...

ŁĄCKI. Wiem, żeś pan cierpiał. Widziałem pana codziennie... Aleś pan mnie oszukał, okłamał.

REMBOWSKI. Ja?

ŁĄCKI. Pamięta pan, kiedy przed rokiem ostrzegano mnie, że pan ma stosunek z nią — przyszedłem do pana, nie podejrzywałem pana o nic — powiedziałem sobie, że ten człowiek — ten, który tyle, tyle dla mnie zrobił... Przypomina sobie pan?

REMBOWSKI (*milczy*).

ŁĄCKI. Powiedziałem panu wszystko otwarcie. Pokazałem panu nawet listy anonimowe -- powiedziałem panu wszystko, coby przeciw panu świadczyć mogło,

i — ha, ha, śmiałem się z tego i... — i pan się śmiał — ha ha...

REMBOWSKI (*milczy*).

ŁĄCKI. A nagle pan spoważniał i powiedział mi pan tak: Łącki, jesteś pan nerwowy człowiek, takie rzeczy mogą zwolna rzeczywiście wywołać w panu podejrzenia... i pan dał słowo honoru — pan przysiągł, że to kłamstwo i potwarz. A pan, pan krzywoprzysiągł — dał pan słowo honoru — zaklął się pan na pamięć najdroższych... i... i... uwierzyłem... Teraz się pana nie pytam, bo wiem wszystko...

Długie ponure milczenie.

REMBOWSKI. Więc czego pan żąda? Wczoraj powiedział mi jeden pan, który mi wielką krzywdę wyrządził: patrz stoję, zabij mnie, wal mi w piersi — i ja to samo panu mówię — krzywoprzysiągłem, złamałem słowo honoru...

ŁĄCKI. Och nie, mój panie — tego nie zrobię; mnie obowiązki na to nie pozwalają, by mój honor ratować — ja pana nienawidzę; dla mnie zemsta byłaby rozkoszą — ale na tę rozkosz mnie nie stać! Więc niech te łzy, co z jej oczu płyną, niech panu duszę przepalą do dna — niech pana smaga w piekło męczarnia, którą znoszę — a, a... rachunki nasze nie załatwione... Dopełnię moich obowiązków, a potem przyjdę do pana by — he, he — mój honor ocalić... Pan popełnił straszną zbrodnię...

REMBOWSKI. Już pomszczona.

ŁĄCKI (*nagle*). Bądź pan' szczerzy. Ja już teraz nie mam nic do stracenia. Teraz nie mam ani hańby, ani wstydu, bom nie umiał mego honoru bronić — ale powiedz pan: stosunek wasz się rozpoczął przed dwoma laty, wtedy, kiedy pojechała do swych rodziców, a pan nibyto wyjechał za granicę, by poratować zdrowie?

REMBOWSKI (*milczy*).

ŁĄCKI. Więc tak! Dziwne, że już wtedy nie zauważyłem w niej tej nagłej zmiany. I słuchaj pan (*badawczo, z wielkim niepokojem*). I przed rokiem, kiedy znowu pojechała do rodziców, bo — bo była tak niezmiernie nerwowa i chora — he, he, — pan wtedy znowu za granicę wyjechał — he, he — znowu był pan z nią razem?

REMBOWSKI (*patrzy wpół nieprzytomnie na niego*).

ŁĄCKI (*szarpie go*). Nie pamiętasz pan? Krótco przed tem, kiedy pan swą żonę poznał...

REMBOWSKI. Nie.

ŁĄCKI. Kłamiesz pan!

REMBOWSKI. Nie, nie kłamię...

ŁĄCKI (*opada*). Co za męka, co za męka... Czemu pan nie może się do tego przyznać, że pan parę miesięcy przeżył z moją żoną, zaczem pan poznał panią Irenę zakochał się w niej i... (*zamyśla się i zrywa się na gło*). O jedną łaskę błagam pana — wiem, że każda

zemsta, jaką bym popełnił na panu, sprawi panu pewien rodzaj przyjemności — nic przyjemniejszego jak ekspiacya — ale teraz bądź pan szczery — błagam pana — przebaczę wszystko — ale powiedz mi pan jedną rzecz — jedną rzecz — panie, — zlituj się pan...

REMBOWSKI (*opanowuje się; mocno*). Wszystko powiem, chociażbym pana miał zniszczyć, chociażby pan miał w tej chwili trupem paść.

ŁĄCKI (*przestraszony*). Czy to dziecko — to... to dziecko, które teraz na świat przyszło..., (*dławi się*) to dziecko — to — pańskie?

REMBOWSKI (*przerażony*). Co? moje?

ŁĄCKI (*wściekły*). Pańskie?!

REMBOWSKI (*ochłonął*). Nie!

ŁĄCKI. Poczekaj pan: żona wróciła, straszna, zmieniona do niepoznania, chora; po jakimś miesiącu znowu wróciła do matki... zlituj się pan — powiedz mi pan szczerze...

REMBOWSKI. Nie byłem w tym czasie, o którym pan myśli, z żoną pańską.

ŁĄCKI. Przysięga mi pan?

REMBOWSKI. Pan ma prawo nie wierzyć przysiędze mojej, więc mówię panu raz jeszcze, że od roku stosunek mój z żoną — z panią Łącką zerwany... Dawniej już...

ŁĄCKI (*straszny*). To prawda?! Prawda?! (*podchodzi ku niemu*). Pan wie — co to dziecko? — wie pan? ta

myśl, że to nie moje dziecko! To, to — mogłoby być straszne dla dziecka...

REMBOWSKI. To nie moje dziecko!

ŁĄCKI. Cóż pan tak drży? kłamiesz pan?

REMBOWSKI (*słabnie*). Nie, nie, — to co innego — straszne, że pan już pomszczony.

ŁĄCKI. Pomszczony? Panie — cóż panu jest?

REMBOWSKI (*opada na fotel*). Pomszczony — żona moja... To gorsze jeszcze...

ŁĄCKI (*zdaje się nagle zrozumieć*). Więc pan Przesławski? (*bardzo nieśmiały*). Przepraszam pana... To, to... (*jąka się — znowu milczenie, zrywa się poważny*). Więc dobrze. Nie zobaczymy się nigdy. Ale korzę czoło przed wielkiem nieszczęściem... (*smutny i zamysłony*). Dziecko nie jest pańskie?

REMBOWSKI. Nie!

ŁĄCKI. Żegnaj pana — nie znam pana — ale jestem pomszczony — nie — nie — nie chciałem się mścić. Ja mój krzyż poniosę, i pan go poniesie — żegnaj pana... (*wychodzi*).

REMBOWSKI (*chodzi gwałtownie chwytając przedmioty, znowu je kładzie, zamysła się*). O Boże! (*Drzwi się zwołna otwierają. Fakaś postać się wsuwa poważna, zimna, souverain*). Co? Co? Kto to?

SCENA ÓSMA.

REMBOWSKI *poźniej*

NIEZNAJOMY.

NIEZNAJOMY. Pan taki przerażony... (*stoi i patrzy dziwnym wzrokiem*).

REMBOWSKI (*w obłędzie*). Którędy pan wszedł? Czegóż pan chce?

NIEZNAJOMY. Którędy wszedłem? Drzwi były otwarte. Dla mnie drzwi zawsze otwarte. W każdym domu. I u biednego — i u żebraka — tak! u nędzarzy najczęściej — czasem i u szczęśliwego, bo bywają przypadki, że ludziom się zdaje, iż są szczęśliwi...

REMBOWSKI. Cóż to ma znaczyć?

NIEZNAJOMY. Nic, nic — nic... Bo czasem się ludziom zdaje, że są szczęśliwi, a szczęście czycha, czycha... przykucnęło do ziemi — i ot! — jeden skok i ma człowieka w ręku...

REMBOWSKI (*przeciera sobie czoło*). Przepraszam — może...

NIEZNAJOMY. Jak ja pana przestraszyłem... O! (*patrzy na zegar*). Godzina fałszywa u pana... (*nakręca zegar*).

REMBOWSKI. Jeszcze nie dziesiąta — jeszcze niema dziesiątej.

NIEZNAJOMY (*nakręca zegar*). Ale będzie — niezadługo będzie... (*odchodzi tajemniczo*).

REMBOWSKI (*chwilę sam; patrzy*

SCENA DZIEWIĄTA. *jak błędny na zegar — przeciera sobie czoło*). Co? co? — śniło mi się — nie — przecież mi się nie śniło (*chodzi po pokoju*). Wizya? — obłąd?

SCENA DZIESIĄTA. RUSZCZYC. Słyszałem, że Łącki
RUSZCZYC wyszedł...

wchodzi.

REMBOWSKI. Poczekaj tylko, poczekaj... tu zdaje się był jeszcze ktoś inny... patrz tylko na zegar... wszak godzina ósma... — co?

RUSZCZYC. No, oczywiście, ósma — Gustaw! co ci jest!?

REMBOWSKI. Nic, nic... tylko ta nieprzespana noc... i jestem strasznie przedrażniony — pomyśl tylko, chwilę mi się zdawało, że tu ktoś był... miałem bardzo przykrą wizję...

Milczenie.

RUSZCZYC. Cóż Łącki chciał?

REMBOWSKI. Nic, nic. Pytał się tylko, czy dziecko Heleny — moje dziecko?

RUSZCZYC. A ty?

REMBOWSKI. Kłamałem, krzywoprzysięgłem (*wściekły*) powiedziałem po trzykroć razy, że nie moje... nie moje... (*podchodzi ku Ruszczycowi*). Wiesz, jestem łotr — ostatni łotr...

RUSZCZYC. Cicho, moje dziecko, cicho... krwawo za to odpokutowałeś!... krwawo...

REMBOWSKI. Tak — krwawo... (*zrywa się*). I znowu skłamałem! — wiesz, powiedziałem mu, że choćby trupem padł u moich nóg, to mu powiem prawdę, a jednak skłamałem. Ruszczyc, czemu skłamałem?

RUSZCZYC. Dobrze, dobrze, żeś skłamał. Te rzeczy za straszne... za straszne...

Milczenie, wogóle rozmowa przerywana ciężkiem, parnem milczeniem...

RUSZCZYC. A może nie dobrze... słuchaj Gustaw, ty ciężko pokutujesz — bardzo ciężko — ale teraz bądź mocny, bądź mocny, wypij ten kielich do dna — zrób wszystko, co męczyzna w takim razie zrobić może..”

REMBOWSKI. Zrobię wszystko — wszystko zrobię...

RUSZCZYC. Bądź mocny. Wiesz, ty jesteś sam, bardzo sam... ty tylko na sobie oprzeć się możesz... Gdybyś był chłopem, tobym ci powiedział: idź do kościoła, rozłóż się krzyżem i płacz i módl się do Boga — nie, nie módl się, tylko krzycz i wołaj, a to ci ulży i da ci siły. Gdybyś był słabym, tobym ci powiedział: buduj szpital, żyj dla ludzkości, bądź filantropem, albo ha, ha, ha, kandyduj na posła do rady miejskiej, aleś ty, och synu mój! Tyś moim Gustawem, ty sam ze siebie zbuduj kościół, którego moce piekielne nie zburzą... (*nagle ogromnie wzruszony*). Gustaw! Gustaw! Cemuś ty taki nieszczęśliwy!? Och Gustaw, gdybyś ty wiedział, czem ty dla mnie jesteś... od dziecka cię chowam; kiedy twój ojciec... (*po długiej chwili*)... twój ojciec... Gustaw! nie będziesz mnie przeklinał? ja znam taką straszną tajemnicę.

REMBOWSKI. Co, co? Cóż ty tak strasznie wyglądasz?

RUSZCZYC. Gustaw, widzisz Gustaw, ja nie miałem tego oparcia w samym sobie, ja musiałem szpitale budować — ha, ha, ha... Gustaw, Gustaw, dziecko moje... ha, ha, ha...

REMBOWSKI. Ruszczyc, Ruszczyc! Co ci jest?

RUSZCZYC (*ochłonał*). Nie, nic! nic... już nic, to taka chwila rozdrażnienia... Wytworzyła się w moim domu taka ciężka, parna atmosfera; nawet moje nerwy, a wiesz, moje nerwy jak postronki, nawet one się rozstroiły... Ale Gustaw, przecież to wszystko zniesiesz; tyś silny Gustaw, ale ja się lękam o ciebie — lękam...

REMBOWSKI. Nie lękaj się. Ja tylko przerażony tą wizją i zgnębiony, że w taki piekielny sposób okłamałem Łackiego — no i to wszystko — przecież rozumiesz, co to znaczy żyć z kobietą, która mnie nie kochała, a Inka mnie nie kochała... dusza moja zawsze czuła, że ona mnie nie kochała... Siebie i ją zamęczałem. Mówiła mi raz o beugach, wiesz Ruszczyc, takie niewidzialne, piekielne chochliki, które człowieka zamęczają, a bronić się nie możesz, bo niewidzialne. I bijesz, bijesz na wszystkie strony, a na nic się nie zda, a ja wiesz... nie ja! moja niewiara, moje podejrzenia były dla niej beugami... Sam jestem winien... nie ona... Tak, tak — ja winien... (*nagle*) Ruszczyc! Co ty masz za tajemnicę? mam takie dziwne przecucie, taka mi się jasność w głowie robi...

RUSZCZYC (*bardzo zmieszany*). Nie, nie, dziecko moje — pamiętaj: milczeć, milczeć... A pamięć matki musi być święta. Bo, bo, widzisz, mój synu, kobieta... my za dużo od kobiety żądamy, my chcemy z niej zrobić kochankę, a ona tylko jest matką — matką...

REMBOWSKI. Nie wiem, co to matka, nigdy jej nie znałem...

RUSZCZYC. O, matka twoja, twoja matka to była piękna, piękna kobieta...

REMBOWSKI. Nie mogła być piękna, jeżeli ojca mego zniszczyła...

RUSZCZYC. O nie mów tego, nie mów, pamiętaj o tem, coś przed chwilą powiedział — te chochliki, te beugi... a, a — bywa i tak, że kobieta złamie wiarę małżeńską, ale wtedy jak mężczyzna kobietę złamie, jak ją zniszczy, stratuje... Tyś Inkę bardzo krzywdził...

Długie milczenie.

RUSZCZYC. Patrzałem na wasze życie i lękałem się. lękałem. Tyś był dobry, bardzo dobry, ale twoja dobroć zabijała. Tak, prawda: nie powiedziałaś nic złego, aleś się zaciął i milczał, a to gorsze, jak gdybyś sobie z nią brutalnie postępował...

REMBOWSKI (*budzi się z zamyślenia*). Tak, tak, tak... więc wiem już teraz; nagle przejrzałem... (*bardzo dziwny*). Więc ty, ty Ruszczyk jesteś moim ojcem?!

RUSZCZYC (*przerażony*). Ja — ja!?

REMBOWSKI Tak... (*nagle pochyla się do ręki Ruszczyca, całuje ją*). Ojcze!

RUSZCZYC. Dziecko, dziecko — synu...

REMBOWSKI. Już dobrze... milczmy, ojcze, milczmy.

RUSZCZYC. A pamięć matki święta, święta, dziecko moje...

REMBOWSKI. Święta, ojcze — święta, ale milczmy, nie już o tem nie mówmy... Są rzeczy tak straszne, że winy w nich niema, że stają się święte...

Wielkie, poważne milczenie.

RUSZCZYC. Gustaw! Mój grzech na tobie się pomścił...

REMBOWSKI Nie, nie, nie — mój własny — sto razy gorszy...

Milczenie.

RUSZCZYC. Więc nie pomogły szpitale!

REMBOWSKI. Nie pomogły... No tak, ojcze... dziwne to »ojcze«, jakie to dziwne! Więc niech wszystko tak zostanie jak było. Jestem silny.

RUSZCZYC. Mój synu...

REMBOWSKI. Wszystko Ince przebaczyłem.

RUSZCZYC. Przebaczyłeś?

REMBOWSKI Przebaczyłem. Niech zostanie u mnie — a zechce zostać? co? zechce zostać?

RUSZCZYC. A gdyby nie została?

REMBOWSKI. Zostanie — między nimi nic nie zaszło.

Jestem pewny — ona by się nie odważyła... nie, nie,
tu w moim domu, o, nie! Ruszszyc?! nie!?

RUSZCZYC (*przerażony*). A nie, nie!

REMBOWSKI. Jesteś pewny?

RUSZCZYC. Pewny? Tak, tak, tak... to niemożliwe,
niemożliwe...

REMBOWSKI. U tych literatów wszystko możliwe; lite-
ratura sumienie im wygryzła; oni nie mają obowią-
zków; nie znają nic prócz literatury i tego, co może
być dla nich substratem do powieści lub dramatu —
ha, ha, ha, ale Inka — nie — Ruszszyc, wszak nie,
tu w moim domu — nie?

RUSZCZYC. Nie, nie...

REMBOWSKI (*z lękiem*). Ruszszyc — wszak nie!?

RUSZCZYC. O nie! nie! Ja Inkę znam, dla niej dom
twój...

REMBOWSKI. Święty, chciałeś powiedzieć...

RUSZCZYC. Nie, nie, onaby tego nie zrobiła...

Znowu milczenie.

REMBOWSKI. A gdyby się to stało?

RUSZCZYC. Nie — nie! bądź silny...

REMBOWSKI. Ruszszyc — o! prawda — ojcie, ojcie,
ojcie! o, jak się to pomściło... ha, ha! a gdyby...

RUSZCZYC (*mocny*). Bądź silny, synu mój, bądź silny,
jam straszniejsze rzeczy przeszedł. Jam tak krwawo,
tak ciężko grzech mój odpokutował, że, synu, mam

prawo wymagać, byś mnie kochał! Jam wart i godzien tego, być twoim ojcem i wart tego, byś mnie szanował. Trzydzieści lat krwawej, ciężkiej pokuty — jednej chwili nie miałem spokojnej, jednej chwili... Ojciec twój — nie, nie — prawda! mąż matki twej, tam na sofie skrwawiony, hu, hu...

REMBOWSKI. A matka?

RUSZCZYC. Nie pytaj się! nie pytaj!

Milczenie.

RUSZCZYC (*opanowuje się*). Słuchaj, Inka bardzo biedna, ona bez ciebie zmarnieje, ona bardzo biedna — przytul ją, przygarnij; niech twoje serce będzie białym, miękkim, ciepłym skrzydłem — wiesz, ona podobna do twej matki, dziwnie podobna... bo wiesz Gustaw, wiesz? to jest cała tajemnica miłości, że człowiek kocha się w kobiecie podobnej do matki... Dziwne, co? im podobniejsza do matki, tem więcej człowiek ją kocha... a twoja matka była piękna o, bardzo piękna i dziwnie do Ireny podobna... Przytul, przygarnij Inkę do siebie, przebacz, przebacz, nawet gdyby...

REMBOWSKI. Co? Co?

RUSZCZYC. Nawet gdyby się to stało...

REMBOWSKI. Nie! Nie!

RUSZCZYC. Nawet wtedy — wiesz, ona tak dziwnie podobna do twej matki...

Milczenie.

REMBOWSKI. Jak to wszystko straszne...

RUSZCZYC. Cicho mój synu, my za dużo od życia wymagamy, za bardzo je bierzemy na seryo — o Boże, czy wiesz, że śmierć na nas czycha?

REMBOWSKI (*przeciera sobie czoło*). Śmierć?... Wiesz miałem taką dziwną, straszną wizję: zdawało mi się, że ktoś zegar nakręca, (*patrzy z lękiem na zegar*) i że mówi... co on tylko powiedział? Aha, prawda, mówił: bo czasem się ludziom zdaje, że są szczęśliwi, a nieszczęście, nie! śmierć, śmierć czycha, czycha... przykucnięta do ziemi i ot! skok jeden i ma czołwieka w rękę.

RUSZCZYC. Nie, nie, to wizja — sam jesteś lekarzem — jesteś strasznie rozdrażniony...

REMBOWSKI. Dziwnie rozdrażniony...

Milczenie. Rembowski chodzi po pokoju.

RUSZCZYC. Więc rozmów się z Inką; takich rzeczy odkładać nie można. Powiedz jej wszystko, przytul, przebacz... bo Gustaw — kobieta, to bardzo słabe stworzenie. Zrobi fałszywy krok tak w jednej chwili, bez namysłu... kobieta tak bezbronna... wiesz, zmrok, pocałujesz ją w rękę, potrzy masz dłoń jej w swojej — jakaś tajemnicza siła pochyli ją, ciebie coś szarpnie, i już — już... nie rzucajmy kamieniem na kobietę...

Wybacz Ince wszystko, zapomnij, nawet gdyby...

REMBOWSKI. Cicho! cicho!

RUSZCZYC. Uspokój się, mów z nią dobrze i spokojnie, bo ona bardzo biedna; czasem mam wrażenie że jest piłką podzucaną... Ot, Gustaw, w białe miękkie skrzydła otul jej biedne, skołatane serce... Boże, Boże. gdyby ojciec twój był to zrobił, gdyby był to umiał zrobić...

REMBOWSKI. To?

RUSZCZYC. To nie potrzebowałbym teraz budować szpitali, ha, ha, ha (*śmieje się zmęczono*).

Milczenie. Rembowski chodzi niespokojny po pokoju.

RUSZCZYC. Gustaw, bądź spokojny — pójdę po Inkę, powiem jej, żeby tu przyszła, rozmów się z nią, a bądź dobry, przebacz wszystko — wszak mi przyrzekasz, Gustaw, że będziesz spokojny?

REMBOWSKI. Przyrzekam...

Ruszczyć wychodzi.

REMBOWSKI (*sam, bardzo niespokojny*). Nawet wtedy — nie! niemożliwe!

Drzwi się otwierają, Irena bardzo blada, przystanąła przy drzwiach — chwila naprężonego milczenia.

IRENA. Gustaw!

SCENA DWUNASTA. REMBOWSKI (*nie patrzy się na nią*).

IRENA. Gustaw!

REMBOWSKI (*podchodzi ku niej, patrząc na stronę*).

Cicho Inka! Cicho — jam dużo zawinił, ja ci wszystko przebaczam, cicho już, cicho...

IRENA. Gustaw, co się stało?

REMBOWSKI. Nic, dziecko kochane, nic... wiesz Inka, ja popełniłem jeden wielki grzech, kochałem cię za bardzo. Ach, ty nie wiesz, jak ja cię kochałem i kocham. Zapomnijmy o wszystkim — wszak tak: zapomnimy?

IRENA. Och ty, ty nie zapomnisz! Ty nie zapomnisz, tak będziesz chodził po twojej pracowni, tam i napowrót, a ja słyszę, słyszę twoje kroki; chociażbym na koniec świata uciec miała, to je będę słyszeć. To straszne tętno twoich kroków w sercu mojem, w głowie, hu, hu...

REMBOWSKI. Nie, Inka, mylisz się. Ja teraz rozumiem, że ja wszystkiemu winien, odtąd przyrzekam ci, będę inny... słuchaj Inka, ty nie wiesz, czym ty dla mnie jesteś. Mówiłem ci raz, wtedy, gdy się tak z tobą męczyłem, wtedy ci mówiłem, że chciałem cię wyrwać z mego serca — aleś takie głębokie korzenie we mnie zapuściła, że wszystko krwią ociekało... Inka, jednego słowa wyrzutu odemnie nie posłyszysz, będę dobry dla ciebie, będziesz miała i taniec i słońce i wesele i wiesz Inka, pojedziemy do Włoch, chcesz, to jeszcze dzisiaj pojedziemy — Ina, Ina, Ina...

IRENA. Gustaw! Ja nie mogę zostać u ciebie!

REMBOWSKI. Słuchaj Inia, my wszyscy bardzo podrażnieni, trzeba na chwilę opuścić ten straszny dom...

IRENA. Przeklęty dom, ha, ha — Ruszczyć mówił przeklęty dom!

REMBOWSKI. Przeklęty dom! (*nagle, po chwili milczenia*). To ty mnie rzeczywiście nie kochasz?

IRENA (*milczy, patrzy na niego przerażona*).

REMBOWSKI (*podchodzi ku niej*). Nie kochasz mnie?! (*pochylony nad nią*). Odpowiedz! (*szarpie ją*). Nie kochasz mnie? Odpowiedz, odpowiedz!

IRENA Puść mnie, puść — to tak boli (*zrywa się*). Pozwól mi iść! Jam niegodna ciebie. Pozwól — niech zmarnieję.

REMBOWSKI (*ochłonął*). Zostań, Inka! Zostań! Ja teraz będę inny. Och, najstraszniejsza męka przy tobie jest jeszcze szczęściem...

IRENA (*nagle z gwałtownem postanowieniem*). Zapóźno!

REMBOWSKI. Co? co? zapóźno?!

Długa, drżąca, przerażona pauza.

REMBOWSKI (*straszny*). Coś — coś powiedziała?

IRENA (*cofa się przed nim wylęknięta*).

REMBOWSKI (*szarpie ją*). Stało się? stało, tu pod moim dachem — tu — tu? Irena!?

IRENA (*przypada do jego nóg i jak w obłędzie całuje jego ręce*). Zabij mnie Gustaw, zabij mnie!!

REMBOWSKI (*patrzy przerażony, straszny, opada na ziemię, znów się zrywa*). No tak, tak — tak...

IRENA (*klęczy u jego nóg i obejmuje jego kolana*). Wybacz Gustaw — przebacz, przebacz — ja ci wszystko powiem, ty wszystko zrozumiesz — przebacz — Gustaw!

REMBOWSKI (*patrzy na nią nieprzytomny*).

IRENA (*kwili jak dziecko*). Będę twoją najpokorniejszą, najniższą niewolnicą, tylko mi przebacz.

REMBOWSKI (*nagle, zimny*). I jak długo mnie oszukiwałaś?

IRENA (*zrywa się*). Ja cię nie oszukałam — to cię oszukało, coś chciał we mnie pogwałcić, zdusić, zniszczyć...

REMBOWSKI. Co? co?

IRENA (*z wybuchem*). Młodość moja, moje pragnienie szczęścia i wesela zrzuciło twoje jarzmo.

REMBOWSKI (*patrzy na nią zamyślony*). Zbrodniczą masz duszę. Żeś też nie miała na tyle wstydu, by mnie nie oszukiwać w moim własnym domu — no, ale to już obojętne... (*chce wyjść z pokoju*).

IRENA (*rzuca się ku nim*). Nie odchodź, Gustaw, tyś taki straszny — nie odchodź!

REMBOWSKI (*patrzy na nią przeciągle*). Czegoż chcesz odemnie? Nie znam cię.

IRENA. Umrzyjmy razem, umrzyjmy, Gustaw!

REMBOWSKI (*z cichym uśmiechem*). Poczóż mamy razem umierać? Idź do twojego kochanka. Ja cię teraz już nie znam — ja inną Inkę w tobie kochałem — ciebie nie znam.

IRENA (*cofa się przerażona*). Gustaw! (*nagle z mocą*).

Pomnij na Łączkę!

REMBOWSKI (*drgnął silnie*).

IRENA. Ja wiem wszystko — wszystko! Nie robiłam ci wyrzutów, bom widziała, jakieś cierpiał...

REMBOWSKI (*przeciera sobie czoło*). Tak, to prawda...

No, więc Inka, wszystko ci przebaczam, wszystko... zresztą ja nie mam nic do przebaczenia, bo sam przebaczenia potrzebuję... tak, Inka, tak... (*podchodzi ku niej, całuje ją w czoło*).

IRENA. Gustaw! Gustaw! (*wyciąga za nim ręce*).

REMBOWSKI (*przystaje przy drzwiach, patrzy na nią przeciągle z niewymownym bólem i wychodzi*).

SCENA TRZYNASTA. IRENA (*rzuca się z płaczem na sofę, po chwili wystrzał, Irena zrywa się błędna — równocześnie wbiega Ruszczyk, straszny — patrzą na siebie chwilę*).

IRENA (*rzuca się ku drzwiom*). Gustaw!

RUSZCZYK. Co? Co?

K U R T Y N A.

GOŚCIE

EPILOG DRAMATYCZNY W JEDNYM AKCIE

OSOBY:

ADAM.

BELA, jego żona.

POLA, jego siostra.

GOŚĆ.

NIEZNAJOMY.

PIERWSZY STARZEC.

DRUGI STARZEC.

WODZIREJ.

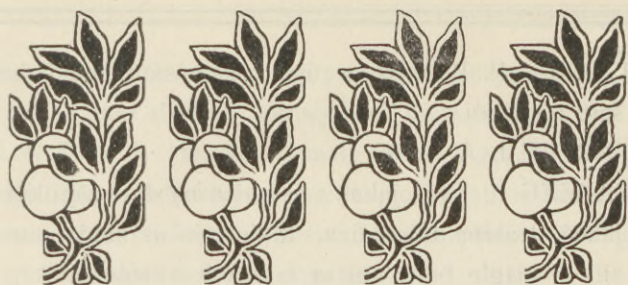
GOŚCIE.

W pałacu przygrywa muzyka Danse macabre Saint-Saënsa.

OSOBY

KONRADOWI RAKOWSKIEMU

W polsce wygrywa muzyka Janes machine 2011-
2012



Park. Noc księżycowa. W dali rześcicie oświetlony pałac. Po parku przesuwają się z uśmiechem i gwarem pary ludzi — wchodzą do pałacu, to znowu wychodzą. Na scenę wchodzi dwóch starców, siadają na ławie.

SCENA PIERWSZA.

STARZEC I i STARZEC II.

STARZEC I. Jak się to wszystko zmienia na świecie. Pamiętam ten pałac, kiedy jeszcze żył stary hrabia. Panie, jakie tu serdeczne, a wesołe były bale... Ale odkąd go ci nowi przybysze kupili — wszystko się zmieniło. Mnie tu coś ciągnie, taki jakiś stary nałóg, ale mi tu już nie miło.

STARZEC II. Skąd oni się tu wzięli?

STARZEC I. Niewiadomo. Spadkobiercy hrabiego właśnie pałac wystawili na licytację — oni przyjechali — Bóg wie skąd, no — i kupili...

STARZEC II. W pałacu ukrywa się jakaś tajemnica.

STARZEC I (*zamysłony*). Jak tu było wesoło! Pamiętam jak się przed trzydziestu laty tu bawiłem — och, to był inny dom, jak teraz — inny, inny...

-
-
- STARZEC II. Bo było w nim czyste sumienie i szczę-
ście i spokój.
- STARZEC I. A teraz?
- STARZEC II. Tam jakaś tajemnica na dnie się ukrywa.
Jakaś straszna tajemnica. Mnie nie oszukają pozory,
ani te ciągłe bale, ani ta sztuczna wesołość...
- STARZEC I. Co się tam na dnie kryć może? Jaka ta-
jemnicza zbrodnia? Co?
- STARZEC II. Bo ja wiem? Zbrodnia — hm — wszy-
stko jest zbrodnią — człowiek na to stworzony, by
płodził zbrodnię.
- STARZEC I. Tak, tak, wszystko może być zbrodnią.
- STARZEC II. Życie samo, bo żyjesz kosztem innego.
- STARZEC I (*zamyślony*). Ożenisz się z kobietą, o której
nie wiesz, czy cię kocha...
- STARZEC II. Przyjdzie dziecko na świat, którego wy-
chować nie możesz...
- STARZEC I. Udusisz wstrętnego skąpca, którego pie-
niędzmi mógłbyś świat cały uszczęśliwić...
- STARZEC II. Przekroczysz prawo, które samo może
być zbrodniczem...
- STARZEC I. Tak! to wszystko może być zbrodnią...
- Po chwili.*
- STARZEC II. Nie wińmy ludzi — oni na to stworzeni,
by zbrodnie płodzić, a wszystko może być zbrodnią...
Ach! ludzie tacy biedni, tacy biedni...
-
-

STARZEC I. I oni, ci nowi przybysze, zdają się być weseli, a taki dziwny lęk wyziera im z oczu...

STARZEC II. Ha, bo dziwni, dziwni goście zapełnili ich dom. Zwłaszcza ten jeden, co krok w krok wlecze się za Adamem: gdzie Adam się ruszy, jest przy nim — taki cień nieoderwany...

STARZEC I. Jakoś mi strasznie niemiło. To jest, jak gdyby jakieś nieszczęście zawisło nad tym domem.

Chwila milczenia.

STARZEC II. Tylko nie wińmy ludzi. Ludzie czasami bardzo biedni — a może nawet żadnej zbrodni nie popełnili. Natura dziwnie bywa czasem złośliwa. Karze za grzechy, które sama w serce człowieka wszczepiła.

STARZEC I. Tak, tak. Dziwnie się mści chwila szału i szczęścia...

STARZEC II. Czasami człowiek nie wie, że zbrodnię spełnił... Nagle w sercu powstaje mała ranka — rozrasta się w straszliwy sposób — człowiek nagle przejrzy, ale wtedy dopiero, jak go już obłąd chwytą... I to czasami nawet w chwili szczęścia jakieś nagłe wspomnienie — słaby jakiś wyrzut — z tym jednym wyrzutem kojarzą się tysiące — coraz silniejsze, coraz cięższe — rozpoczynają się poszukiwania, dochodzenia... najdrobniejszy szczegół, najmniejsza krzywda wyrasta do potwornych rozmiarów — i, ot! dom napęlnia ci się dziwnymi gośćmi.

STARZEC I. Tak, tak, to ta tajemnicza ukryta sprawiedliwość wewnętrznego porządku rzeczy...

STARZEC II. Tego ludzie nie wytworzyli — oni znają tylko karę, a sprawiedliwość serce samo wymierza...

STARZEC I. Serce... he, he — za swoje własne złe podszepty i uwodzenia...

STARZEC II (*śmieje się cicho*). Tak, tak, tak...

Z pałacu dochodzi muzyka — pary się zbierają, wszystko gromadzi się tłumnie na werandzie pałacu.

WODZIREJ (*klaszcze w ręce*). Panowie i panie, taniec się rozpoczyna!

STARZEC I (*do drugiego*). Chodźmy i my, niech sobie przypomnę te piękne czasy, kiedy tu było tak dobrze i wesoło...

STARZEC II. I dobre sumienie... (*wychodzą*).

ADAM (*po chwili*). Straszny

SCENA DRUGA.

gość zagnieździł się w tym domu... (*zamyślony*) straszny, straszny...

Z werandy pałacu schodzi Adam, głęboko zadumany. Stoi chwilę, potrzęsa głową.

POLA (*schodzi z werandy, podchodzi ku Adamowi, bierze*

go za rękę). Adam! Adam! Mój biedny bracie — ja muszę opuścić twój dom.

ADAM (*przerażony*). Co? co? Ty chcesz opuścić mój dom?

POLA. Tu niema miejsca dla mnie — twój gość mnie wypiera...

ADAM. Co? Miejsca niema? Dla ciebie niema miejsca?
No, to ci zbuduję nowe pałace, marmurowe — z kryształu, jeżeli zechcesz, z czerwonego porfiru, zielonego syenitu — miasta ci całe zbuduję — całe miasta — świat cały ci zabuduję — tylko zostań, zostań...

POLA. Och, gdybyś ziemię całą dla mnie zabudował, to jeszcze nie będę miała miejsca. Twój gość zewsząd mnie wyprze... Już ja ci się teraz na nic nie przydam... Ten dom twój, to dom nieszczęścia, lęku — dom złego sumienia...

ADAM. Pola!

POLA. Nic, nic — stało się coś strasznego w tym domu; ja ci się pytać nie chcę, nie chcę nicować twej duszy — o Boże, żeś ty musiał wejść w ten dom! I co cię tu sprowadziło do tego domu?

ADAM. Miłość.

POLA. A spełniłeś zbrodnię...

ADAM. Co? co?

POLA (*z cichym uśmiechem*). Ja już wszystko przeczułam i przeklinam ten dom, który duszę twą zabił.

Chwila milczenia.

POLA. Tak! na nic ci się już nie zdam. Adam, pomnisz to nasze wielkie szczęście, to spokojne ciche szczęście, zaczem wszedłeś w ten dom? Raz na skałach, na brzegu Oceanu? Morze tak gładkie i miękkie, jak dłoń ukochanej kobiety; jakaś zaświatowa melo-

dya zmroków i gasnącej purpury na niebie wypełniała świat cały — i ocean znikł i świat cały spłynął nam z oczu...

ADAM (*nagle*). Och jaki ja byłem wtedy szczęśliwy!

POLA. A pamiętasz przed rokiem jeszcze, zaczem wszedłeś w ten nieszczęsny dom, pamiętasz te białe noce nad morzem Północy? Słońce, co właśnie zaszło, skryło się na chwilę za morze — już, już znowu powstać miało — w wielki ogromny majestat purpury, co niebo obciągnął, wcinały się długie, złote gońce światła, co białym żarem za chwilę świat zalać miało. Pomnisz, z jakim szczęściem chłonałeś te dziwne czary?

ADAM. Pomnę! Zbyt dobrze pomnę — może, gdybym to wszystko zapomniał...

POLA. To? to?

ADAM. Możebym się wtedy pozbył tego strasznego gościa...

Milczenie.

POLA. Gdzieś ty go spotkał?

ADAM. Gdzie, gdzie? Ha! na drodze życia, droga siostró. Wtedy, jak mi się noga poślizgnęła, jak bez myśli i bez pamięci rzuciłem się na oslepek — w to, to... nieszczęście — ha, ha... miało ono być szczęściem... każdy człowiek, któremu się noga poślizgnie... wiesz, dostaje w dom takich gości...

POLA. Adam! Coś ty zrobił?

ADAM (*patrzy na nią z cichym uśmiechem — wymijająco*).

Gdzie go spotkałem? Ot, widzisz, przyczepił się do mnie po raz pierwszy w wielkim mieście. Idę późną nocą do hotelu, a droga wypadła przez ciemny i dziwnie ponury park. I nagle, jakby z pod ziemi wyrósł, stanął człowiek przedemną i spojrzał na mnie wzrokiem, ale to takim wzrokiem, który całe ciało wypełnia, rozpiera je, zimnym dreszczem plecy, piersi zbiega. Drżałem, trząsałem się, ale oczy nasze się spłotyły, oderwać ich nie mogłem, zlepiły się z sobą... On powiedział tylko: odtąd pozostaniemy razem. Przez całe życie pozostaniemy razem...

POLA. Jakąś ty zbrodnię popełnił, Adam?

ADAM. Istnieje jakiś człowiek, któryby zbrodni nie popełnił? Jakiejś, choćby małej zbrodni? Co to znaczy duża, mała zbrodnia? Największa może mieć tak małe skutki, że staje się małą i naodwrot... A czy ty nie masz czasem lęku i trwogi, żeś może nieświadomie spełniła jakąś zbrodnię, taką, o której może nawet nie wiesz? Nie czujesz lęku i trwogi?

POLA. Nie na tyle, bym sama przed sobą uciekać musiała.

ADAM. Szczęśliwa!

POLA. Widzisz moje życie ciche, spokojne, zrównoważone.

ADAM. Zrównoważone... tak — jak było jeszcze przed rokiem nasze wspólne życie.

POLA. Przed rokiem.

ADAM. I jesteś szczęśliwa z mężem?

POLA. Spokojna, spokojna. A to już szczęściem... (*zamyślona*). I czemuś tego — takiego gościa wprowadził do twojego domu?

ADAM. Musiałem, musiałem! A, powiedz mi, czy jest jakiś dom, w którymby taki pan nie gościł?

POLA. Straszne, straszne! (*po chwili wskazuje na pałac, skąd coraz głośniejszy dochodzi oddźwięk muzyki*). A to cię nie ogłusza?

ADAM. Nic, nic — chwilami pragnę się oszołomić, ale gość mój nie pozwala mi zapomnieć — to, to (*wskazuje na pałac*) to dla niej, dla mej żony: kobietę to ogłuszy, ale mnie — nie...

POLA. Adam, ja muszę cię opuścić, taki dom to jak zaraza... Zarazek nieszczęścia przyczepi się do sukni i wniosę go w mój dom.

ADAM. Tak idź, idź — ale z tobą znika dla mnie reszta spokoju, ukojenia, (*nagle z rozpaczą*). Och módz zapomnieć, módz zapomnieć!

POLA (*opada, głucho*). Módz zapomnieć... (*po chwili*).
A nie mógłbyś opuścić tego domu?

ADAM. I dokąd ucieknę? Przed sobą uciec? Nie można!

SCENA TRZECIA. BELA. Adam! Adam!

Z werandy schodzi ADAM. Co? Tu jestem.

Bela. BELA (*podchodzi*). Jesteś niedo-

bry. Czemu gości spraszasz, jeżeli wciąż uciekasz? Co chwilę trzeba cię szukać po wszystkich kątach (*rozdrażniona*), a dziwnych, dziwnych gości sprosiłeś.

ADAM (*zamyślony*). Tak, straszni goście gnieźdzą się w naszym domu.

BELA. Czemuś ich sprosił?

ADAM (*znacząco*). Myśmy ich przecież oboje, tak! oboje w dom sprowadzili.

BELA. Co? Oboje? Co?

ADAM. Nic, nic — tylko Pola mi mówi, że odjeżdża do domu.

BELA. Co? odjeżdżasz do domu? Adam zatrzymaj ją! co z nami będzie — Pola zmiłuj się, czy wiesz jaką ty pustkę pozostawisz?

POLA. Wiem niestety, ale muszę już jechać, muszę — tu, tu w waszym domu mi niedobrze, a u mnie tak cicho, tak smutno, ale spokój, spokój...

GOŚĆ (*uprzejmie*). Ależ państwo,

SCENA CZWARTA.

Wchodzi gość niespodzianie.

goście was szukają... Chcą twoje zdrowie pić, Adamie, cóż ty taki nieswój — a pani jakaś przygnębiona.

ADAM (*nerwowo, do Beli*). Idźcie do sali, powiedzcie, że zaraz przyjdę. Głowa mnie boli, chwilę jeszcze pochodzę po parku...

POLA (*nieprzyjaźnie do Gościa*). To zostawmy go tu chwilę samego — chodź pan...

GOŚĆ (*uprzejmie*). O nie, ja z nim pogadam, ja go zwykle uspokajam.

BELA. Chodź Pola, chodź — słyszysz? Taniec, taniec... (*odchodzą*).

ADAM (*patrzy nienawistnie na gościa*). No i cóż? Na krok mnie

SCENA PIĄTA.
ADAM i GOŚĆ. nie odstępisz? nie dasz mi chwili spokoju?

GOŚĆ. Wiesz, zem nieodstępnym twoim towarzyszem. Pamiętasz tę noc w ciemnym parku? — Wtedy ci już powiedziałem, że odtąd pozostaniemy razem. To niemiła rzecz, ale już muszę pozostać przy tobie. To takie moje przeznaczenie. — Widzisz, jam twój cień. Co?

ADAM (*opada*). I nigdy mnie już nie opuścisz?

GOŚĆ. Nigdy.

ADAM (*z mocą*). A gdy cię z serca wyrzucę, gdy znajdę tyle siły i odwagi, by się zamknąć dla ciebie, gdy się stanę tak mocny i powiem ci precz! gdy znajdę kogoś lub cośkolwiek, co mą duszę wypełni, że będziesz się musiał od mych stóp oderwać, że będziesz musiał umilknąć...

GOŚĆ. Hm, — kto inny możeby umiał to zrobić. — Ty nie!

ADAM. A jeżeli rozum mój zyska taką przewagę, że powiem sobie, iż to, co zrobiłem, zrobić musiałem — że była tylko ta jedyna droga?...

GOŚĆ. Do szczęścia?

ADAM. Wszystko jedno, w przepaść, w otchłań, w rozpacz, ale że tak się stać musiało.

GOŚĆ. Rozum dziwnie nierozumny w takich razach...

ADAM. Ale, jeżeli zdołam to zrobić?

GOŚĆ. Wtedy cień mój na ścianę rzucę. Roztoczy nad tobą straszne skrzydła — gdzie się ruszysz te czarne, upiorne skrzydła — nie! straszne ręce, rozczapierzone, groźne palce, gdyby szpony szatana, co już, już cię pochwycić mają — gdzie się ruszysz, będziesz zawsze widział te straszne, czychające, podstępne szpony — teraz jeszcze ramiona rozwarte, przyczajone, ot — tak, jak pantera do skoku: jedna sekunda, a obejmą cię w piekielne kleszcze, ot! tuż pod gardło — owiną cię piekielnym uściskiem, coraz silniej cię dusić będą, coraz silniej...

ADAM. Aż, aż?

GOŚĆ. Aż uduszą (*śmieje się*). I jesteś mój! mój! mój!

ADAM (*zrywa się*). A dla czego ja twój?

GOŚĆ (*śmieje mu się w oczy*). Ach, jak ty pragniesz to zamilczyć, zdusić w swoim sercu — czemu się pytasz, dlaczegoś ty mój? Wiesz przecież sam najlepiej.

ADAM. A jeżeli te ręce nigdy się od ściany nie oderwą?

GOŚĆ. Hm, jeszcze gorzej. Zresztą mówiłem ramiona, ramiona, zda się przyczajone do skoku, jak pantera — Ha, ha... Te ramiona ci się rzeczywiście przeistoczą zwolna w takie drapieżne, szatańskie zwierzę — będziesz je miał ustawicznie przed oczyma — i co chwilę czujesz, że to drapieżne zwierzę skacze na ciebie, przednimi łapami obejmuje twoją szyję, tylnymi wpija się w twoje biodra, a cały pysk wżarty w twoją pierś: rozrywa ją, szarpie w kawały, gruchocze żebra, dogryza się do serca — ha, ha, ha — wyrywa serce, takie biedne serce, krwią ociekające...

ADAM. Dosyć już, dosyć...

GOŚĆ. Wiesz, w starym Mexico u Azteków był zwyczaj, że ofiarowywano serce, świeżo wycięte z piersi człowieka, matce-słońcu...

ADAM. A to słońce, któremu moje serce ma być ofiarowane?

GOŚĆ. Sprawiedliwość.

ADAM. Ludzka?

GOŚĆ. Niema ani ludzkiej, ani boskiej. Jest jeden porządek rzeczy, że tak być musi a nie inaczej — kto go przełamie, serce jego na śmierć skazane...

ADAM. Nieubłagany jesteś?

GOŚĆ. Jestem strasznym gościem — co? Strasznym gościem...

Dolatuje coraz silniejszy oddźwięk muzyki.

ADAM. Och ta muzyka, ta przeklęta muzyka.

GOŚĆ. Nie zagłusza cię? Nie oszołomi cię? Spróbuj, spróbuj — tańcz, upij się, odurz się rozkoszą, tańcem, muzyką... Czemuż uciekasz przed tem wszystkim? Czemu się chowasz ustawicznie w parku, że cię odnaleźć trudno.

ADAM. Nie mogę słuchać muzyki. Nie mogę patrzeć na taniec! Gryzie — gryzie — gryzie. Och te cienie, te uśpione cienie na ścianie. Zawsze je widziałem, zawsze mnie straszły. Każdy przedmiot wyrastał w to zwierzę, co kłami swymi serce mi wyrywało, szarpało, gryzło...

GOŚĆ. Ha, ha, ha... (*nachyla mu się do ucha*). Gryzie? he? gryzie?

ADAM (*milczy stępiąły*).

GOŚĆ. Ha, ha, — takie szczury, co? szczury? To tak wgrzyzuje się drobnymi, cienutkimi ząbkami i szarpie i wcina, i wgrzyza się — albo co? Jak kret, to tak temi małemi łapkami tę twardą opokę, taką spiekłą ziemię — taką stwardłą skorupę — a zdawało się, że to kamień — to wiesz, temi małemi łapkami tak tę ziemię rozluźnia, wgrzebuje się powoli, powoluteńku, ale głębiej i głębiej z taką wściekłą zapalczywością. Potem już kreta nie widać, tylko kupka — ach nie! mogiłka ziemi rośnie, rośnie — rośnie coraz wyżej, im głębiej się kret wgrzebie — a naraz mogiła usypa; nie rośnie już więcej...

ADAM. To znaczy?

GOŚĆ. Kret zrobił swoje.

ADAM. I ta mogiła?

GOŚĆ. Na rozstajnych drogach.

ADAM. Dla zbrodniarzy? Co?

GOŚĆ. Lub dla samobójcy — ha, ha... żeś też o tem nie pomyślał... Tembyś się odemnie wyzwolił... — A przecież to tak łatwo. My zbyt na seryo bierzemy śmierć... I to tak delikatnie urządzić można, bez rozgłosu, bez ludzkiego gadania. Chcesz uniknąć jakichś przykrych rzeczy, nie chcesz, by o tem mówiono — i na to rada jest: tuż za parkiem jezioro, wyjeżdżasz łódką na wodę, nadchodzi nagła burza, albo też łódka zmorszała, no! i toniesz... Nieszczęśliwy wypadek! Pogrzebią w święconej ziemi — he, he... albo też wracasz z polowania: masz strzelbę źle przewieszoną, potrącisz o drzwi — lufa wypali — no! i znowu przypadek... Albo idziesz w góry, ot! to najpewniejsze, noga ci się na mchach obślizgnie, albo się kamień obsunie... a to podobno przyjemna śmierć: lecis, lecis; w jednej sekundzie przeżywasz najpiękniejsze chwile twego życia...

ADAM. Więc tylko śmierć mnie od ciebie uwolnić zdoła?

GOŚĆ (*zimno*). Tylko!

ADAM. Więc tylko śmiercią odkupić się zdołam?

GOŚĆ. Tylko!

ADAM. Straszny jesteś.

GOŚĆ. Śmierć nie jest tak straszna. Śmierć dobra...

Czemuż ja nie mogę być tak dobry jak śmierć?

Głosy z werandy; śmiech i rozgwar.

WODZIREJ. Adam! Adam! Chodźże wreszcie. Pijemy
teraz twoje zdrowie!

ADAM. Idę, idę (*idzie do pałacu*).

GOŚĆ. Pamiętaj! To jedno, co cię odemnie uwolni!

SCENA PIĄTA. NIEZNAJOMY (*podchodzi z dru-
giej strony; wpatruje się w okna
pałacu, potem odwraca się do
gościa. — Nagle*). Wszak to tu ten dom, w którym
się stały dziwne, tajemnicze rzeczy?

GOŚĆ. Tak, tu.

NIEZNAJOMY (*po chwili*). Bal, muzyka, taniec... hm...
To nie zagłusza, nie zagłusza... To upiorów nie roz-
proszy, to na chwilę upoi, a potem to przez chwilę
oszołomione serce mści się podwójnie, że dało się
uśpić. Bo serce ludzkie, straszne i mściwe. Nie da
spokoju, nie da... (*po chwili*). Czy ja tam wejść mogę?
Bo coś mnie ciągnie do światła i wesela — ciągnie
nieprzeparcie...

GOŚĆ. Czemu byś nie miał wejść? Jeden gość więcej —
cóż to stanowi? Zresztą niezadługo zapełni się ten
dom gośćmi, których gospodarz sam nigdy nie znał —
a dziwnych gości ma już teraz u siebie!

NIEZNAJOMY. Dziwnych? (*patrzy chwilę samyślonny*).

Och, gdybym ja tam wejść mógł!

GOŚĆ. Ale gospodarz dawno już na was czeka. Takie jego przeznaczenie, że dom mu się coraz dziwniejszymi gośćmi zapełnia.

NIEZNAJOMY. A może się myślę, może to dom szczęścia i spokoju, a mam nieszczęsny zwyczaj, wchodzić w chwilach szczęścia i wesela... ale ja samotności nie znoszę: jakby mnie furyc gnały — latam po ulicach, błąkam się; straszny niepokój gna, smaga mnie wściekłym biczem... i wtedy tak przykucnę przy płocie bogatych — tam, gdzie się w oknach świeci, skąd muzyka dolatuje i gwar i śmiech wesoły, i naraz zdaje mi się, że jestem na trzęsawisku bezradny, — ciemno. — Nie wiem, w którą stronę — aż naraz błędny ognik, o! wybawienie! On pokaże mi drogę, pokaże kierunek... i idę, i idę, i grzęznę coraz głębiej, ale iść muszę... I teraz nie wyrzucajcie mnie — o! bo mnie wyrzucić nie można — patrzcie! ja porządnie ubrany; nie zrobię wstydu — tylko patrzeć na taniec, chłonąć muzykę, oślepiac oczy światłem... o! nie zagłuszy, nie zagłuszy, ale da chwilę zapomnienia — a w domu bogatych jeszcze bezpiecznie, względnie bezpiecznie. Bo jestem jak szczwane zwierzę, ludzie mnie ścigają, osaczyli ze wszystkich stron, sumienie opętało, serce nie chce okłamywać, mózg błędny...

GOŚĆ. Tym razem nie pomyliłeś się — tu ci będzie dobrze. To ludzie, którzy strasznie cierpią, a zagłuszyć się nie umieją...

NIEZNAJOMY. Tak? To wejdę. Kocham ludzi, którzy cierpią — kocham... a — a w domu bogacza względnie bezpiecznie, względnie... (*idzie z wolna do pałacu*).

Przez chwilę scena próżna. Głośna

SCENA SZÓSTA.

muzyka. Gość patrzy nieruchomie na pałac. Nagle muzyka cichnie, a po chwili wychodzi Adam chwiejny, podchodzi do gościa.

ADAM. Tyś go wpuścił?

GOŚĆ. Sam wszedł.

ADAM. Czemuś go wpuścił? Teraz już nie mogę przekroczyć progu tego domu.

GOŚĆ. Nie.

ADAM. Nie ma ratunku?

GOŚĆ. Nie!

ADAM. I dla niej też nie?

GOŚĆ. Dla kogo?

ADAM. Dla mej żony.

GOŚĆ. Zaraz tu przyjdzie.

ADAM. Gdzie Pola? — szukam jej, szukam — Pola!
Pola!

GOŚĆ. Schowała się w najskrytszy kąt twego pałacu.

Ona cicha i spokojna — a teraz ma lęk. Bo dziwnych i strasznych masz gości.

ADAM. Straszne!

GOŚĆ. Pamiętaj, com ci mówił. O przypadek tak łatwo. Przypadkiem łódka utonie — noga się w górach obślizgnie — tysiące sposobów... *(po chwili)*. Zresztą dziwni jesteście. Bierzecie to życie tak strasznie na seryo. Czemu? To trochę szczęścia, ta śmieszna ułuda, która na chwilę pokrywa otchłań życia, by się za chwilę głębsza i straszniejsza odsłoniła... Te chwile upojenia, to omamienie, że żyje się po coś i na coś — że się ma cele w życiu — he he... jacyście wy śmieśni — biedne robaki, piłki w rękach losu i przeznaczenia i wielkich, nieznanym tajemnic — a wam się zdaje, że wy ster prowadzicie... A ja już cię nie opuszczę, bo opuścić cię nie mogę... Patrz, idzie żona twoja... I ją ten nieznajomy z domu wypędził... Teraz na chwilę pozostawię cię twoim rozmyślaniom — w wielkiej godzinie życia zwykle ludzi opuszczam... *(chwilę zamyślony)* albo też poczekam — przejdę się po parku... Ludzie w takich chwilach tak dziwnie tchórzliwi: życie wydaje się im nagle tak dziwnie piękne, takie ponętne... Poczekam... Mnie jeszcze nikt nie zwiodł — nikt jeszcze przedemną nie uciekł... *(odchodzi, spotyka się na drodze z Belą — patrzą chwilę na siebie)*.

SCENA SIÓDMA.

BELA. Ty straszny! Ty przekł^ęty!

GOŚĆ. To nie ja — życie straszne i przekł^ęte! (*ginie w parku*).

BELA (*do Adama*). Adam! Adam! Adam! Pola odjechała — teraz już wszystko skończone. Już siły straciłam — nie mogę dłużej tej męki znieść... Obłęd nasze progi przekroczył. Na nic szął, muzyka, upojenie...

ADAM. Więc Pola wyjechała?

BELA. Uciekła z tego domu...

ADAM. Z domu złego sumienia.

BELA. Uciekła, wtedy, gdym się tańcem zagłuszyć chciała.

ADAM (*mocno*). Teraz nie ma ratunku.

BELA (*zrywa się*). Uciekajmy!

ADAM. Dokąd?

BELA. Gdziekolwiekbądź, choćby na koniec świata.

ADAM. Pola powiedziała, że choćbym cały świat zabudował najkosztowniejszymi pałacami, to dla niej miejsca niema...

BELA. Och zapomnimy, zapomnimy — patrz! moje ramiona jak ze stali, — ja cię niemi poniosę, utulę, obejmę tak mocno, że w tej rozkoszy o wszystkim zapomnimy.

ADAM. Nie, nie! Ten straszny, straszny gość nie da nam spokoju.

BELA. Więc co? co?

ADAM. Co? Wyjedziemy łódką na jezioro — łódka zmorszała — jezioro głębokie...

BELA. Adam!

ADAM. Albo pojedziemy w góry — na wysokie, niebezpieczne szczyty — noga się osunie, ja cię za sobą pociągnę i — i — będziemy wolni.

BELA. Niema innego wyjścia!

ADAM. Niema! (*Bela rzuca mu się z głośnym płaczem na szyję*).

ADAM i BELA (*radośnie*). Pola!
Pola!

SCENA ÓSMA.

POLA. Cicho — cicho...

Pola wbiega, ogląda się trwożliwie na wszystkie strony.

ADAM. Więc zostaniesz przy nas!

BELA (*rzuca się jej na szyję*). Zostaniesz teraz — już cię nie puścę.

POLA (*beztładnie*). Nie zostanę — zostać nie mogę. Nie mam szczęścia w moim domu, ale mam spokój, a tu u was zaraza — przyczepi się do sukni i zawłokę to do domu męża, wszczępię jad w moje dzieci...

BELA. Zostań! zostań...

POLA. Nie, nie — uciekłam, skryłam się, ale gonili za mną, oni tam straszne rzeczy robią — Słyszysz? niema już muzyki — światła gasną — patrz! widzisz? ciemno w pałacu.

Pałac niknie w ciemności — tylko noc księżycowa.

POLA. Przybiegłam, bo was raz jeszcze widzieć musiałam. Och, och! coście wy zrobili? Jaką zbrodnię spełniliście?!

ADAM (*twardo*). Jaką? Żadnej! Milion ludzi to samo robi i są szczęśliwi...

POLA. I za co ta straszna pokuta?

ADAM Za co, za co? (*nagle do Beli*): Czemuś mnie nie odkupiła -- czemuś mi chwili szczęścia nie dała?

BELA. Boś go mieć nie chciał — nie chciał — chowałeś się przedemną, odtrącałeś, gryzłeś szyderstwem, odpychałeś mnie — a ja, ja rwałam się do ciebie, pragnęłam cię... Tyś tylko chciał się zagłuszać, odurzyć, upoić i coraz bardziej dom nasz gośćmi się wypełniał.

ADAM. Dziwnymi gośćmi... Ha! bo na ścianach były czarne, czychające cienie — czarne zwierzę, co już się rzucić na mnie miało. Bo słyszałem krzyk i płacz, taki straszny rozdzierający płacz: coś jakby płacz dziecka, któremu się wielką, wielką krzywdę wyrządza za to, że było dobre, że kochało — ha, ha... (*nagle do Poli*). Idź, idź! To dom złego sumienia. To zaraźliwe.

POLA (*chce mu się rzucić na szyję*).

ADAM (*odpycha ją*). Tu w tym domu zaraza — patrz, jaki straszny dom! — idź!

POLA. Boże — niema ratunku — a ja tak was kocha-

łam a ja myślałam, że wam pomódz mogę... (*odchodzi*).

ADAM. Zapóźno, Pola, zapóźno...

ADAM (*zamyślony*). Więc ja pójdę
SCENA DZIEWIĄTA. w góry — tam, gdzie się mech
ADAM i BELA pod nogą oślizgnie, gdzie ka-
chwile sami. mień się przypadkiem pod nogą
obsunie...

BELA. Lękam się! Ja taka młoda — taka silna jeszcze. —
Lękam się.

ADAM. To pójdę sam.

BELA. Nie, nie, nie! Pójdę gdzie chcesz, ale lękam się —
takam jeszcze młoda...

ADAM. I ja młody...

BELA. Otoczę cię taką miłością, tak cię utulę — patrz
jam silna, ja muszę iść z tobą, ale zostań jeszcze; je-
szcze spróbuj; nie odpychaj mnie od siebie — rzućmy
się w wir życia, będziemy je chłonać, upajać się nim...

ADAM. Cieni nie zgonisz ze ścian, kreta pod ziemią
nie poszukasz...

SCENA DZIESIĄTA. BELA. Cóż chcesz? Cóż? Prze-
klęty! — ty straszny!
GOŚĆ *zwolna nad-* GOŚĆ. To tylko życie straszne.
chodzi. To tak niezmiernie śmieszne,

że ludzie tak życie kochają: śmierć dobra i cicha...
To trochę głupiego szczęścia — to mamidło, ten

majak szatański. To upojenie się swoją siłą, celami, to przeświadczenie, że jest się wielkim, że ma się jeszcze tyle do zrobienia: to wszystko głupstwo, to lep, na który życie ludzi bierze. Śmierć, śmierć, to jedyne — pluje się życiu w twarz i mówi się: mnie nie omamisz! I idzie się z wielką powagą i pogardą w śmierć! ADAM (*do Beli*). Chodź, chodź — pójdziesz zemną? BELA. Tak się lękam, tak się lękam!

ADAM (*łagodnie do gościa*). Kobieta się zawsze lęka (*błędnie*). he, he... Więc pójdę sam... A, trudno... zostań — jeszcze masz życie przed sobą — jesteś jeszcze silna i młoda...

BELA. Adam! Adam! (*stoi jak przykuta do ziemi*).

ADAM (*idzie, ogląda się za nią, ale nic nie mówi*).

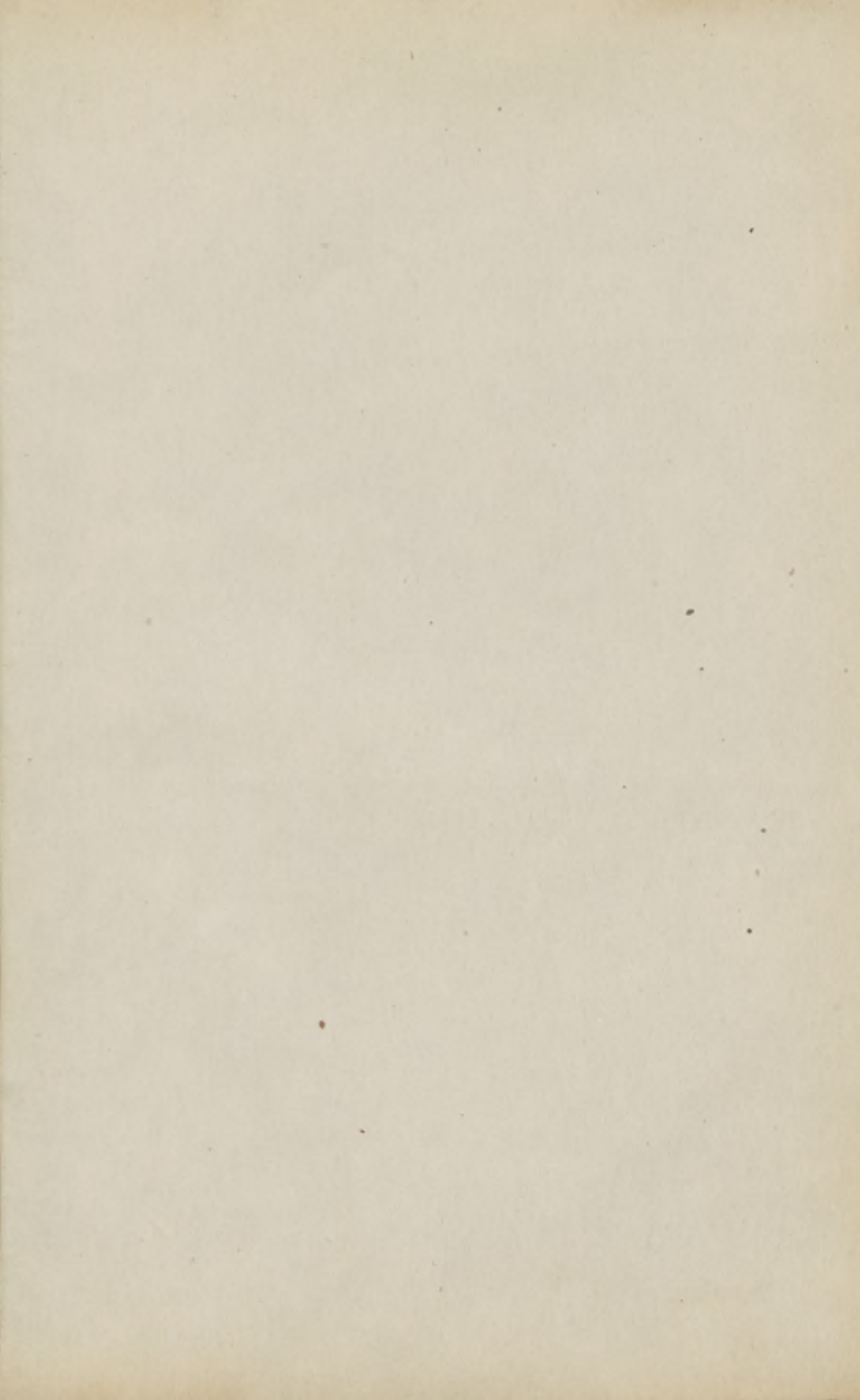
GOŚĆ. Pójdę z tobą. Będzie ci łatwiej. A już czas, już czas...

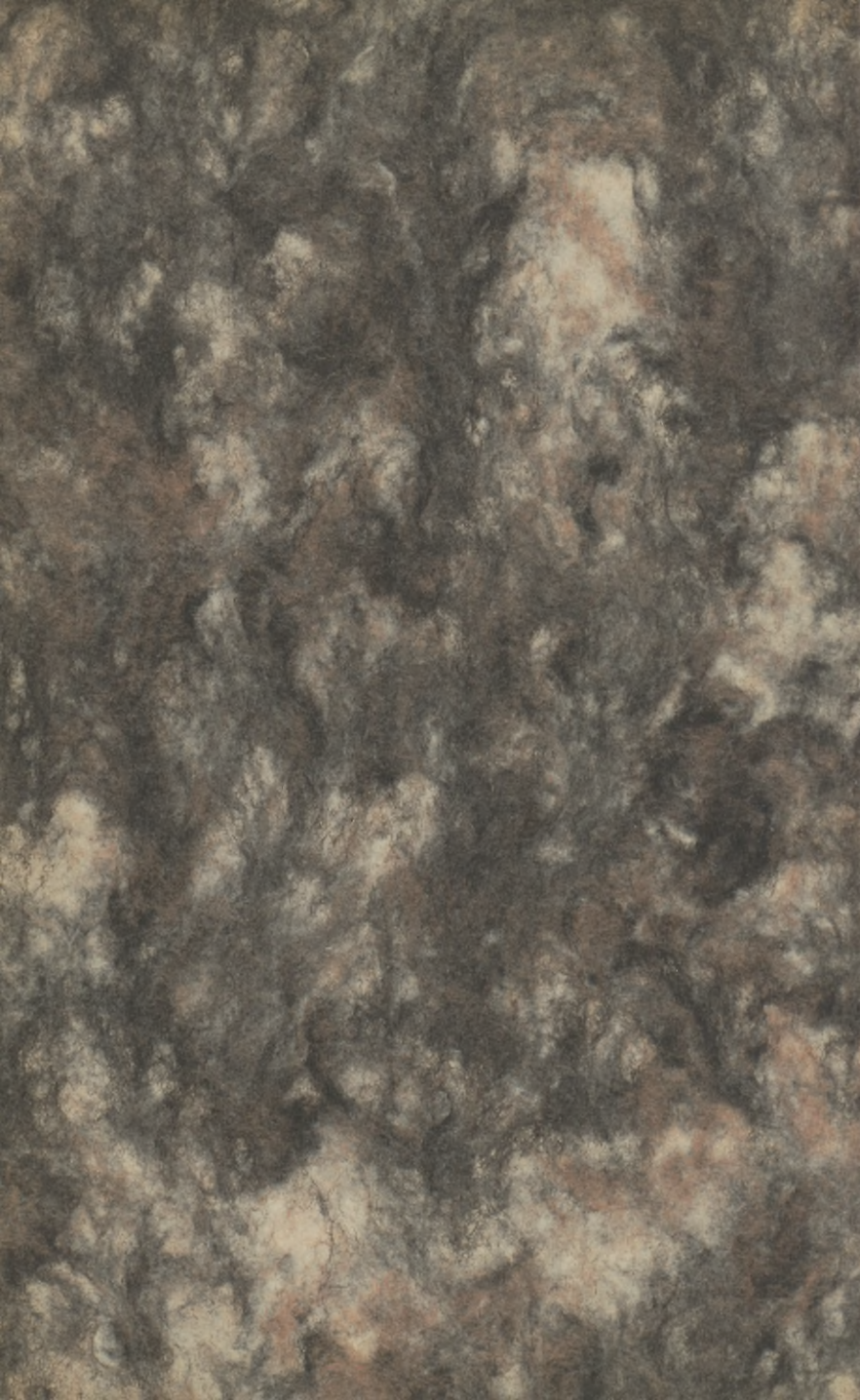


K U R T Y N A.

Js. —

454325 / 20370







Biblioteka UJK Kielce

UJK



0505919